

Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

200.
nr 1-2

NR 1(23) 2005 ROK X
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł



- ☐ Zapomniane restauracje Zielonej Góry
- ☐ Rozwój ochrony przeciwpożarowej na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1949
- ☐ Kalendarium Pionierów (cd.)
- ☐ Mistrz w swoim fachu - Władysław Korcz
- ☐ Lubuskie Towarzystwo Kultury w okresie gomułkowskim (1956-1970)
- ☐ Porady Starego Piwowara





Maria Gołębiowska
(1922-2005)



899 III / 2005

Pionierzy

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:

Sekcja Historyczna Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry,
ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra.

Redakcja:

Redaguje Kolegium w składzie:
Wojciech Strzyżewski
Robert Skobelski
Adam Górski
Przemysław Bartkowiak
Stanisław Prałat

Adres Redakcji:

ul. Stary Rynek 1,
Ratusz – Sala Wspomnień,
65-067 Zielona Góra

Korekta:

Ewa Nodzyńska

Druk:

Drukarnia „EURODRUK”
tel. 068 323 41 40
Zielona Góra

Na okładce:

Zielona Góra na dawnych
kartach pocztowych
(zbiory specjalne UZ)

Materiałów nie zamawianych
redakcja nie zwraca.
W materiałach nadesłanych
redakcja zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian redakcyjnych.
Za treść reklam redakcja nie odpowiada.

Do Państwa rąk oddajemy kolejny 23 numer Pionierów. Mamy nadzieję, że zawarte tutaj artykuły zainteresują Czytelników i przybliżą im mało znane fragmenty z dziejów naszego miasta.

Kilka miesięcy temu odeszła od nas Pani Maria Gołębiowska, długoletnia patronka naszego czasopisma. Wspomnienie o niej przedstawia Tomasz Nodzyński.

W tym numerze prezentujemy ciąg dalszy sylwetek zielonogórskich pionierów. Ich często powikłane, lecz ciekawe losy przedstawi Stanisław Prałat, w wywiadzie przeprowadzonym przez **Wojciecha Königsberga**. Następnie znajdą Państwo kolejny fragment Kroniki Pionierów Zielonej Góry spisanej przez nieżyjącego już niestety Adama Chmielewskiego, a opracowany przez **Ireneusza Wojewódzkiego**. Następne strony poświęcone zostały zapomnianym restauracją Zielonej Góry, jest to pierwsza część cyklu przygotowywanego przez **Grzegorza Biszczanika**. Kolejny artykuł opracowany przez **Jana Muszyńskiego** przedstawia wspomnienia jego mamy. W tym numerze mają też Państwo możliwość poznania dziejów Lubuskiego Towarzystwa Kultury w okresie gomułkowskim, przygotowanego przez **Edytę Staroń**.

Daniel Głowiński kieruje naszą uwagę na postać znanego zielonogórzanina - Władysława Korcza. Czytelnicy znajdą tu informacje i zdjęcia z jego życia. W mroczne czasy procesów o czary przenosi nas artykuł **Marcina Łukaszewskiego** opowiadający o tym jak w naszym mieście postępowano z „czarownicami”. **Tadeusz Serylaka** na podstawie przeprowadzonej rozmowy z Florianem Drzymałom przybliży Państwu temat okrucieństwa II wojny światowej. **Stanisław Prałat** przedstawia swoje wspomnienia z lat 1939-1945.

Na zakończenie zaś artykuł **Daniela Koteluka** przedstawiający mało znane dzieje Ochrony Przeciwpowodzi na Ziemi Lubuskiej.

Nie zabraknie oczywiście „Porad Starego Piwowara” przygotowywanych przez **Stanisława Prałata**. Mamy nadzieję, że znajdą Państwo w niniejszym numerze Pionierów interesujące dla siebie materiały. Jeżeli dysponują Państwo materiałami dotyczącymi historii naszego miasta, prosimy o kontakt z redakcją.

REDAKCJA

Wspomnienie o Marii Gołębiowskiej

(1922-2005)

Ten numer "Pionierów" jest niestety pierwszym wydanym bez udziału inicjatorki i dobrego ducha naszego pisma, Pani Marii Gołębiowskiej. Myślę, że wyrażę życzenie innym współautorów i czytelników, że tę i następne edycje dedykujemy właśnie Jej – wieloletniej przewodniczącej Sekcji Historycznej Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry i członkini zespołu redakcyjnego.

Panią Marię Gołębiowską miałem zaszczyt poznać w połowie lat 90., przy okazji organizowania redakcji "Pionierów". Jako urodzony sceptyk byłem pełen wątpliwości, czy nasze przedsięwzięcie się uda: czy znajdą się pieniądze, autorzy, czytelnicy... Pani Maria, chociaż blisko dwukrotnie ode mnie starsza, "zaraziła" mnie jednak prawdziwie młodzieńczą pasją i przekonała do swojej idei. Dalej już wspólnie namówiliśmy do niej całą grupę dziennikarzy, historyków, regionalistów, działaczy społecznych, których nazwiska znalazły się w gronie współautorów czasopisma od pierwszego do obecnego numeru. Okazało się, że zainteresowania i oczekiwania wielu osób w Zielonej Górze wyszły naprzeciw marzeniom Pani Marii Gołębiowskiej, jednej z pierwszych powojennych zielonogórzanek.

Los przywiódł ją tutaj we wrześniu 1945 roku prosto z obozu koncentracyjnego w Falkensee pod Berlinem, w którym została ciężko ranna i okaleczona na całe życie. Do obozu dostała się z rodzinnego Szostakowa, niedaleko Brześcia nad Bugiem. Podobnie jak tysiące repatriantów ze Wschodu nie trafiła na Ziemię Zachodnie z wyboru, ale, jak mówiła, jej nowe miejsce zamieszkania urzekło ją od razu swym urokiem, zielenią, ogrodami i winnicami. To pierwsze, miłe wrażenie, za-

pewne szczególnie silne po koszarze wojny, zaowocowało miłością do miasta i aktywnością społeczną, która trwała praktycznie do ostatnich dni życia. Była typem działaczki społecznej, wyznaczającej innym ambitne cele i pokazującej, jak je osiągać. Przełamując słabość i choroby, w dużym stopniu wyniesione z okresu wojny, poświęcając swój osobisty czas i wygody, współtworzyła Stowarzyszenie Pionierów Zielonej Góry, jego Sekcję Historyczną i Komisję Młodzieżową, Salę Wspomnień w zielonogórskim Ratuszu, wreszcie czasopismo, które Szanowny Czytelnik ma w ręku. To bardzo wiele jak na osobę, która mogła by tylko spokojnie korzystać z emerytury, otoczona kochającymi dziećmi i wnukami. Panią Marię Gołębiowską zapamiętam jako osobę wielkiej klasy, prawdziwą kresową Damę, a jednocześnie chcącą przede wszystkim służyć innym i ukochać miastu. W ostatniej rozmowie na łamach "Pionierów" powiedziała, że nie tylko władze są odpowiedzialne za jego wygląd i klimat, ale wszyscy współmieszkańcy, którzy powinni się czuć gospodarzami wspólnego domu: "Dlatego też marzę i wierzę w to, że nasza Zielona Góra pozostanie miastem przyjaznym..., również dla przyszłych pokoleń."

P.S. Pogrzeb Marii Gołębiowskiej odbył się 29.03.2005 r. na cmentarzu przy ul. Wrocławskiej w Zielonej Górze. Obecni byli liczni mieszkańcy, pionierzy polskiej Zielonej Góry z pocztą sztandarową SPZG, przedstawiciele władz miejskich. Informacje na temat życiorysu Marii Gołębiowskiej można znaleźć m.in. w różnych numerach naszego pisma.

Tomasz Nodzyński

Maria Gołębiowska

(1922-2005)

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Pani Marii Gołębiowskiej. Była ona długoletnią patronką naszego czasopisma. Wspierała nas w wielu ciężkich chwilach swoją radą i myślą. Za to wszystko, co dla nas uczyniła na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Redakcja

KALENDARIUM PIONIERÓW ZIELONEJ GÓRY

Część 3:

STYCZEŃ 1990 – GRUDZIEŃ 1991

Poniższe kalendarium jest dalszym ciągiem zapisu działalności pionierów Zielonej Góry sporządzonym na podstawie rękopisu "Kroniki Pionierów Zielonej Góry od 23 listopada 1985 r.", założonej i prowadzonej przez Adama Chmielewskiego. Objętość kroniki uniemożliwia przedrukowanie jej w całości na łamach "Pionierów". Z konieczności zatem, redakcja zdecydowała się na formę kalendarium streszczającego zapisy kroniki.

ROK 1990

1 stycznia

"Zmarła pani Elżbieta Tobiasz, która liczyła sobie 76 lat. Do Zielonej Góry przybyła 29 października 1945 r. i rozpoczęła pracę w Lubuskiej Wytwórni Wódek Gatunkowych.

3 stycznia

"Odbyła się niecodzienna, bardzo miła jubileuszowa uroczystość 50-lecia pożycia małżeńskiego, naszych zasłużonych pionierów [...] Anny i Mariana Łukaszewiczów. Wspomniana uroczystość odbyła się w domu jubilatów, gdyż pani Anna parę dni wcześniej złamała nogę."

10 stycznia

Posiedzenie zarządu Sekcji Pionierów Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry. Szeroko omawiano przygotowania do zebrania sprawozdawczo-wyborczego planowanego w lutym 1990 r.

27/28 stycznia

W "Magazynie Gazety Lubuskiej" red. Andabata poruszył sprawę pionierów, biorąc ich w obronę i polemizując z artykułem Bucka z "Gazety Nowej".

9 lutego

"Odbyło się ostatnie w bieżącej kadencji posiedzenie zarządu Sekcji Pionierów. Na tymże posiedzeniu omówiono wszystkie sprawy dotyczące zebrania sprawozdawczo-wyborczego."

15 lutego

"W 76 roku życia zmarł pionier Zielonej Góry Franciszek Górski. Do Zielonej Góry przybył 28 grudnia 1945 r. i rozpoczął pracę w Zastalu."

15 lutego

Liczna grupa pionierów uczestniczyła w koncercie z okazji 45 rocznicy wyzwolenia Zielonej Góry. "Równocześnie należy stwierdzić – zauważa autor kroniki – że w bieżącym roku mniej uroczystości obchodzono tą uroczystości, nawet władze miasta nie zorganizowały spotkania z pionierami Zielonej Góry, co czyniono w poprzednich latach". W komentarzu autor kroniki dodaje, że "wyższe władze miasta" unikają spotkania z pioniera-

mi, "których władze miasta, a w szczególności pan prezydent [E. Błachowiak] bez żadnego powodu haniebnie skrzywdzili". Niestety autor nie uściśla gdzie leżą przyczyny owych nieporozumień.

16 lutego

"Gazeta Lubuska" nr 40 donosi o akcji wydawania darmowych posiłków. Jej inicjatorem w Zielonej Górze był pionier, starszy Cechu Rzemiosł Różnych, wieloletni radny Miejskiej Rady Narodowej Zdzisław Adamczewski.

24 lutego

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze Sekcji Pionierów TPZG w bibliotece im. Norwida. Przewodniczył Stanisław Karczmarek. W zebraniu uczestniczyło około 150 pionierów. Wśród zaproszonych gości znalazł się m.in. przew. Komitetu Obywatelskiego "Solidarność" I. Dryjański.

Sprawozdanie z 4-letniej działalności ustępującego zarządu złożył A. Kosmański. Zebrani udzielili absolutorium zarządowi i dokonali wyboru nowych władz. Nową przewodniczącą zarządu sekcji została Anna Kucharska, wiceprzewodniczącą: M. Mikucki, T. Magalas, sekretarz: K. Szydłowski, przew. Komisji Historycznej: M. Gołębiowska, przew. Komisji Finansowej: E. Prędkiewicz, przew. Komisji Socjalno-Bytowej: H. Wierzbicka, członkowie: W. Antkowiak, S. Dyra, E. Garbarczyk, S. Jankowski, S. Kubasiewicz, I. Kucnerowicz, M. Jodłowska, S. Patecka, A. Piłat

2 marca

"Odbyło się pierwsze posiedzenie nowo wybranego zarządu Sekcji Pionierów Zielonej Góry, na którym omawiano sprawy organizacyjne i ustalono roczną składkę członkowską na 3 000 zł"

12 marca

Zmarła pionierka Zielonej Góry Maria Jankowska. Do miasta przybyła 8 marca 1945 r.; była pracownikiem wydawnictwa prasowego.

19 marca

"Delegacja nowego zarządu Sekcji Pionierów Zielonej Góry w składzie: Anna Kucharska, Michał Mikucki, Tadeusz Magalas, spotkała się z wiceprezydentem miasta panią Barbarą Bartochą oraz przewodniczącym MRN Władysławem Budą. Zasadnicza sprawa [jaka] była poruszana, [to] pomieszczenie dla Sekcji Pionierów Zielonej Góry, gdyż z dotychczasowego biura, które było w Bibliotece Wojewódzkiej, zostali wyeksmitowani. Po szerszej dyskusji z władzami miasta nic konkretnego nie załatwiono.

23 marca

Medalami za zasługi dla miasta została wyróżnio-

na w zielonogórskim ratuszu grupa pionierów: M. Gołębiowska, K. Chałupka, L. Kucnerowicz, T. Magalas, A. Wojciechowski, K. Zawadzki, W. Zbarszewski.

19 kwietnia

Zmiana siedziby zarządu Sekcji. Jak donosiła "Gazeta Lubuska" (nr 91) "od maja br. dyżury członków zarządu odbywać się będą w piątki [...] w gmachu ratusza, pokój nr 18".

27 kwietnia

"Zmarł zasłużony pionier Zielonej Góry, długoletni przewodniczący zarządu Sekcji Pionierów [TPZG], Piotr Kłuciński. Do Zielonej Góry przybył w czerwcu 1945 r. swoją pracę rozpoczął z młodzieżową organizacją OM – TUR". Był m.in. współautorem pierwszej sztuki wystawianej na deskach zielonogórskiej sceny.

20 maja

Odszedł Jan Bilski – pionier przybyły do Zielonej Góry 28 lipca 1945 r.. Miał 73 lata.

26 maja

Uroczyste spotkanie pionierów WiMBP im. Norwida z okazji Dnia Matki z udziałem około 75 osób. Spotkanie ubarwił występ zespołu dziecięcego z SP nr 17.

6 czerwca

W wieku 76 lat zmarł pionier Witalis Zbarszewski. "Do Zielonej Góry przybył 20 sierpnia 1945 r. i rozpoczął pracę w Zaodrzańskich Zakładach Przemysłu Metalowego – obecnie Zastal".

13 czerwca

Zmarł Eugeniusz Stankiewicz, pionier przybyły do Zielonej Góry 10 października 1946 r. Pracę podjął w Referacie Osiedleńcym. Miał 86 lat.

1 sierpnia

"W wieku 67 lat zmarł nagle nasz zasłużony pionier Zielonej Góry i obecnie pełniący obowiązki wiceprzewodniczącego zarządu Sekcji Pionierów Tadeusz Magalas. Do Zielonej Góry przybył 18 listopada 1945 r. i rozpoczął pracę jako nauczyciel w Liceum Ogólnokształcącym".

24 sierpnia

"Po przeżyciu 74 lat zmarła pionierka Jadwiga Piotrowska. Do Zielonej Góry przybyła 21 maja 1946 r. Pracowała w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych".

3 września

"W wieku 84 lat zmarła pionierka Zielonej Góry Barbara Kruczkowska. Do Zielonej Góry przybyła 5 lipca 1946 r.."

16 września

"W wieku 78 lat zmarła pionierka Zielonej Góry Stefania Nowak. Do Zielonej Górze przyjechała w maju 1945 r.. Pracowała w Zielonogórskich Zakładach Graficznych.

17 września

Zmarł Stefan Słocki – znany zielonogórski artysta plastyk. Był pionierem, do Zielonej Góry przybył 16 lipca 1945 r. Autor kroniki załącza doniesienia prasowe dotyczące zmarłego.

5 października

"Odbyło się kolejne posiedzenie zarządu Sek-

cji Pionierów Zielonej Góry". Na posiedzenie przybyła Wanda Darasz – prezes Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry. Zaproszony został także Adam Chmielewski, który zaprezentował prowadzoną przez siebie kronikę.

13 października

Zmarła pionierka Halina Chorążyczewska. Miała 79 lat, w Zielonej Górze mieszkała od 2 października 1946 r., pracowała w Polskiej Wełnie.

27 października

"W sali kinowej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej odbyło się uroczyste spotkanie pionierów Zielonej Góry z okazji Dnia Seniora. Na spotkanie przybyło około 130 pionierów". Wśród zaproszonych gości znalazł się m.in. E. Mincer – członek Zarządu Miejskiego.

9 listopada

"W Zielonej Górze odbył się kolejny zjazd nauczycieli Tajnego Nauczania z naszego województwa. [...] Zasłużona pionierka Zielonej Góry pani Eleonora Penkin została odznaczona Medalem Rodła".

19 listopada

W wieku 80 lat zmarła pionierka Franciszka Piotrkowska, przybyła do Zielonej Góry w 1946 r.

25 listopada

"Minęła 14 rocznica działalności Sekcji Pionierów Zielonej Góry. W ostatnim roku został wybrany nowy zarząd [...]. Należy stwierdzić, że w trzech pierwszych kwartałach działał aktywnie, choć były takie czy inne trudności [...].

10 grudnia

"Zmarł tragicznie, przeżywszy ponad 85 lat, zasłużony pionier Zielonej Góry Czesław Oleszkiewicz. Do Zielonej Góry przybył 20 lipca 1945 r. i rozpoczął pracę w Zastalu"

ROK 1991

4 stycznia

"Odbyło się kolejne posiedzenie zarządu, na którym m.in. były omawiane sprawy zebrania sprawozdawczego jak i spotkania z pionierkami z okazji święta 8 Marca. Rozpatrzono prośbę pana Michała Mikuckiego – wiceprzewodniczącego zarządu – o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska. Prośbę swą uzasadnił pogarszającym się stanem swego zdrowia. [...] Zarząd jednogłośnie rezygnację przyjął".

11 stycznia

Zmarł Henryk Puzicki, pionier osiadły w Zielonej Górze 4 listopada 1945 r.. Był rzemieślnikiem. Miał 84 lata.

24 stycznia

Prezes Towarzystwa Miłośników Tradycji wyróżnił pamiątkowym dyplomem pionierów E. Grabarczyk, A. Kucharską i A. Chmielewskiego za aktywne wsparcie "starówkowych inicjatyw" towarzystwa podczas Dni Starówki.

3 lutego

"W wieku 77 lat zmarł pionier Franciszek Rzeźniczak. Do Zielonej Góry przybył w maju 1945 roku i

rozpoczął pracę w obecnym Zastalu". Zmarły był wieloletnim dyrygentem orkiestry dętej Zastalu.

8 lutego

"Odbyło się kolejne posiedzenie zarządu sekcji[...]. W związku z likwidacją Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry, przy którym działała Sekcja Pionierów, wynikała potrzeba zarejestrowania samodzielnej organizacji. Prace z tym związane [...] rozdzielono poszczególnym członkom zarządu".

10 lutego

Zmarła Julia Misiuk, emerytowany pracownik Polskiej Wełny, pionierka osiadła w Zielonej Górze w marcu 1946 r. Miała 75 lat.

12 lutego

Prezydent Miasta Roman Doganowski przesłał na ręce około 20 pionierów życzenia wraz zaproszeniami na koncert z okazji 46 rocznicy wyzwolenia Zielonej Góry. A. Chmielewski odnotował rozgoryczenie pionierów, gdyż "dotychczas takie życzenia otrzymywało ponad 80 pionierów".

28 lutego

W Sądzie Wojewódzkim w Zielonej Górze zostało oficjalnie zarejestrowane "Stowarzyszenie Pionierów Zielonej Góry w Zielonej Górze". Jako cele jego działalności zapisano: "Zrzeszenie pionierów naszego miasta, dla podtrzymania więzi koleżeńskej i udzielenie sobie wzajemnie pomocy; aktywny udział w ważniejszych akcjach społecznych i komunalnych, podejmowanych na terenie miasta; zbieranie wspomnień członków [...]; zbieranie różnych pamiątek z pierwszych lat zasiedlania miasta Zielonej Góry [...]; zapoznanie szczególnie młodzieży z działalnością mieszkańców [...] w pierwszych miesiącach i latach po wyzwoleniu drogą udziału w okolicznościowych imprezach".

2 kwietnia

Odszedł kolejny pionier. Józef Kimżeś miał 76 lat, do Zielonej Góry przyjechał w sierpniu 1945 r., pracował jako mechanik w Okręgowej Cegielni.

6 kwietnia

W związku ze zmianą nazwy i statusu prawnego Sekcji Pionierów w Bibliotece Wojewódzkiej odbyło się "nadzwyczajne zebranie sprawozdawczo-wyborcze". Obradom przewodniczył Antoni Kosmalski. W wyborach uzupełniających do zarządu weszły: A. Łukasiewicz, R. Maksymowicz, W. Nowaczyński, S. Zawadzka. D Komisji Rewizyjnej zostali wybrani: E. Prędkiewicz, S. Śpiewanek oraz Urszula Wawel – przewodnicząca. W skład prezydium zarządu weszli: Anna Kucharska – przewodnicząca, Helena Magalas – wiceprzewodnicząca, Włodzimierz Nowaczyński – wiceprzewodniczący, Eleonora Garbarczyk – sekretarz i Stefania Zawadzka – skarbnik. Składkę członkowską ustalono na 5 tys. zł rocznie.

24 maja

"W wieku 68 lat zmarł nagle pionier Andrzej Szymankiewicz. Do Zielonej Góry przybył w maju 1945 r., pracował w spółdzielni Społem."

26 maja

Zmarł Wincenty Leciej, więzień obozu koncentracyjnego w Mauthausen, zasłużony trener boks, pionier. "Do Zielonej Góry przyjechał 30 lipca 1945 r. i rozpoczął prace we własnym zakładzie fryzjerskim oraz był społecznym działaczem sportowym".

9 czerwca

"W wieku 80 lat zmarł członek komisji historycznej pionierów Bernard Blum. Do Zielonej Góry przyjechał w czerwcu, pracował w PKP".

10 czerwca

Notatka w "Gazecie Lubuskiej": "Stowarzyszenie Pionierów Zielonej Góry przystępuje do wydawania nowych legitymacji swoim członkom".

16 lipca

"Zarząd Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry przesłał do redakcji "Gazety Lubuskiej" obszernie pismo o istnieniu, działalności i potrzebach pionierów [...]. W dniu 23 lipca w "Gazecie Lubuskiej" nr 169 ukazała się notatka – streszczenie wspomnianego pisma.

Równocześnie należy stwierdzić, że na konto Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry redakcja "Gazety Lubuskiej" przekazała dobrowolnie 150 000 zł oraz nasi zasłużeni pionierzy, państwo Melania i Tadeusz Kucharscy 100 000 zł, na działalność stowarzyszenia".

4 października

"W wieku 64 lat zmarła pionierka Maria Wawrzyniak. Do Zielonej Góry przyjechała 19 października 1945 r. i rozpoczęła pracę w Zastalu".

17 października

W "Gazecie Lubuskiej" nr 242 ukazała się notatka o wybitnym zielonogórskim chirurgu, a także pionierze, Albinie Bandurskim.

18 października

"W 70-tym roku swego życia zmarła pionierka Maria Wencel. Do Zielonej Góry przyjechała 14 kwietnia 1945 r., pracowała w Starostwie Powiatowym".

19 października

W bibliotece im. Norwida odbyło się uroczyste spotkanie pionierów z okazji Dnia Seniora. Obecni na spotkaniu byli przedstawiciele władz miejskich i zielonogórskich mediów. W części artystycznej wystąpili aktorzy Teatru Lubuskiego.

29 października

"W "Gazecie Lubuskiej" (nr 252) ukazała się notatka pt. 'Sztafeta Pokoleń', opisująca przebieg uroczystego spotkania pionierów Zielonej Góry z okazji Dnia Seniora". Autor notatki prasowej podaje, iż stowarzyszenie skupia 370 członków.

15 listopada

"Na działalność Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry anonimowa pionierka ofiarowała 500 tys. zł, Urząd Miasta Zielonej Góry 2 mln zł oraz Katowicki Bank Handlowo-Kredytowy S.A. Oddział Zielona Góra 2 mln zł"

C.d.n.

Opracował: Ireneusz Wojewódzki

WYWIAD ZE STANISŁAWEM PRAŁATEM - PRZEWODNICZĄCYM PIONIERÓW W ZIELONEJ GÓRZE

- **Wojciech Königsberg:** Na początku chciałbym zapytać jak upłynęło Pańskie dzieciństwo i młodość?

- **Stanisław Prałat:** Urodziłem się w Grodzisku Wielkopolskim w latach 20-tych ubiegłego wieku i tam także uczęszczałem do szkoły. Pamiętam jak pewnego razu graliśmy z kolegami w piłkę koło szkoły i usłyszałem o tym, że Adolf Hitler doszedł do władzy w Niemczech, bardzo mnie to bolało i byłem niezadowolony z takiej wiadomości. Dopiero jednak za kilka lat Hitler pokazał na co go stać i zaczęła się gehenna mego życia. Po wybuchu wojny w 1939 roku zostałem wywieziony do Rzeszy i trafiłem na te tereny. Niemcy tutaj mieszkający byli nieznośni, co spowodowało, że zbiegłem i udałem się do Westfalii. W Westfalii społeczeństwo niemieckie było zgoła inne, było tam także dużo Polaków, którzy jeszcze przed wojną przywędrowali tam w poszukiwaniu pracy. Pracowałem tam w kopalni i gorzelni, aż do czasu wkroczenia wojsk alianckich. Następnie ponownie przyjechałem na te tereny i osiadłem w Zielonej Górze. Muszę powiedzieć, że wiele się nauczyłem w czasie wojny, ale był to dla mnie ogromnie trudny okres życia, a do tego jeszcze doszła rozłąka z rodziną.

- **W. K.:** Jakie wrażenie wywarła na Panu Zielona Góra, gdy się Pan tutaj zjawił po wojnie?

- **S. P.:** Niezbyt dobre. Zostałem straszny bałagan, wszędzie były porozrzucane rozmaite papiery, dokumenty a wśród Niemców panował wielki strach i obawa o ich dalsze losy. Muszę wspomnieć o pewnym wydarzeniu z lat 80-tych ubiegłego wieku. Pewnego razu zobaczyłem w Zielonej Górze grupkę ludzi otaczającą jedną osobę. Zaciekawiony podeszedłem do tej grupy aby zobaczyć o co chodzi. Okazało się że był to turysta z Niemiec i szukał osoby także władającej tymże językiem. Zaoferowałem mu pomoc. Okazało się, że był to syn przedwojennego właściciela "Apteki pod Orłem", mieszczącej się na rynku i szukał miejsca gdzie się ona dawniej znajdowała. Wskazałem mu to miejsce, a on w zamian dał mi list od proboszcza niemieckiego, w którym opisane jest wejście do Zielonej Góry wojsk radzieckich. Książd między innymi pisał w tym liście, o tym co Niemcy tu niszczyli przed wejściem sowietów, wymieniając z nazwiska osoby odpowiedzialne za zniszczenie wodociągów, gazowni czy elektrowni w Zielonej Górze. Jestem dalej w posiadaniu tego listu a jego część już opublikowałem.

- **W. K.:** Czym się Pan zajmował po wojnie?

- **S. P.:** Przez cały czas pracowałem w browarze w Zielonej Górze.

- **W. K.:** Od jak dawna działa Pan w Stowarzyszeniu Pionierzy?

- **S. P.:** Och, będzie już ponad 10 lat, gdzieś od początku lat 90-tych, czyli nawet blisko 15-cie.

- **W. K.:** Niedawno zmarła śp. pani Maria Gołębiowska, przewodnicząca Stowarzyszenia Pionierów. Jak Pan wspomina panią Marię?

- **S. P.:** Z panią Gołębiowską poznałem się, gdy wstąpiłem w szeregi Pionierów. Pani Maria chciała, żebym pracował wraz z nią w Izbie Pamięci. Natomiast ja, jako kolekcjoner kufli, początkowo nie-

zbyt interesowałem się tym przedsięwzięciem, ale jednak zdołała mnie nakłonić i się zgodziłem. Dość długo razem współpracowaliśmy, niestety w pewnym momencie pani Maria zaczęła podupadać na zdrowiu. Wtedy właśnie postanowiliśmy przejąć ciężar prowadzenia Pionierów na własne barki. Przeprowadziliśmy inwentaryzację w Izbie Pamięci, zawiadomiliśmy panią Marię, a na jej wyraźne życzenie właśnie ja przejąłem po niej funkcję przewodniczącego.

- **W. K.:** Jakie ma Pan plany jako nowy przewodniczący Pionierów?

- **S. P.:** Chcemy, aby rozwinęło się życie towarzyskie osób starszych skupionych w Pionierach. Pragnę wspomnieć, że do Stowarzyszenia Pionierzy mogą należeć osoby, które przybyły do Zielonej Góry w latach 1945-1947. W 1996 roku przy wielkim zaangażowaniu pani Gołębiowskiej zaczęliśmy wydawanie kwartalnika "Pionierzy". Staramy się opisywać dzieje Zielonej Góry a także powojenne początki miasta. Pragniemy docierać do uczniów jak i studentów, przybliżając im trochę historii. W Izbie Pamięci wykładane są kolejne numery "Pionierów", aby chętni mogli na miejscu zapoznać się z treścią tegoż czasopisma. Korespondujemy także z Niemcami, którzy mieszkali w Zielonej Górze przed wojną lub z ich potomkami. Między innymi posiadamy list od córki byłego niemieckiego dyrektora browaru w Zielonej Górze. W liście tym opisane jest jak w roku 1945, tuż przed nadejściem wojsk radzieckich, wywoził on i lokował w bankach na zachodzie papiery wartościowe z browaru.

- **W. K.:** W Izbie Pamięci znajduje się "Złota Księga", do czego ona służy?

- **S. P.:** Pełni ona funkcję księgi pamiątkowej, do której mogą się wpisywać osoby odwiedzające to miejsce. Oprócz tego sam także wpisuję do niej najważniejsze wydarzenia z kraju i ze świata. Na przykład pod datą 2 kwiecień 2005 istnieje wpis, że o godzinie 21:37 zmarł Jan Paweł II, "Papież tysiąclecia". Nie można zapomnieć o tak wielkim człowieku.

- **W. K.:** Posiada Pan bogatą kolekcję kufli. Co zamierza Pan z nią uczynić?

- **S. P.:** Cały czas zastanawiam się komu ją przekazać. Na razie kolekcjonuję wraz z synem, jednak najprawdopodobniej całą kolekcję przekazę na własność miasta, bo jest naprawdę godna zobaczenia. Posiadam na przykład kryształowy kufel z herbem książęcym, kufle metalowe z około 1670 roku, różnego rodzaju okolicznościowe z zawodów bokserskich, kolarskich, okolicznościowy z wojny światowej a nawet z feldmarszałkiem Hindenburgiem.

- **W. K.:** Na koniec chciałbym zapytać jak ocenia Pan dzisiejszą Zieloną Górę?

- **S. P.:** Jestem zadowolony i nie wyobrażam sobie życia w innym mieście a nawet w moim rodzinnym Grodzisku Wielkopolskim. W Zielonej Górze spędziłem i przepracowałem większość swego życia. Uważam, że miasto jest piękne. Pamiętam jak liczyło zaledwie 20 tysięcy mieszkańców, a teraz ponad 100. Polacy czegoś tutaj dokonali i możemy być z tego dumni, bo nawet Niemcy nas podziwiają.

- **W. K.:** Dziękuję Panu za rozmowę.



1 września 1939 roku, godzina 6.00 rano, Polskie Radio nadało komunikat - "Hitlerowskie wojska przekroczyły granicę Polski - wojna!"

Po zajęciu kraju przez Niemcy wielu Polaków dotknęły liczne represje: od publicznych egzekucji do tajnych zabójstw w lasach, więzieniach, śmierci z głodu i wycieńczenia w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Niemiecki najeźdźca zlikwidował naukę szkolną dla polskich dzieci, biblioteki, wszelkie przejawy życia kulturalnego, praktyki religijne, aresztowano ludzi nauki, księży, zakonników, zamykano kościoły, rabując z nich dzieła sztuki, dzwony i zamieniając je w magazyny.

Aby jechać pociągami, Polacy musieli uzyskać przepustki od niemieckich urzędów. Ławki w parkach i przedziały w wagonach posiadały napisy "Nur für Deutsche" - "Tylko dla Niemców". Mężczyźni narodowości polskiej musieli zdejmować czapki przy spotkaniu niemieckiego policjanta, inaczej ryzykowali pobiciem. Represje ze strony okupanta przybierały różne formy. Łapanie uliczne, wysiedlenia, pacyfikacje i deportacje do pracy przymusowej i niewolniczej na teren III Rzeszy i krajów okupowanych. Do pracy zmuszano również polskich jeńców wojennych, którym narzucono status robotnika cywilnego. Polacy zatrudnieni na obszarze Rzeszy poddani byli różnym dyskryminacyjnym zarządzeniom, które nie dotyczyły innych narodowości (z wyjątkiem obywateli ZSRR). Między innymi, zgodnie z zarządzeniem Feischsführera SS i szefa niemieckiej policji z upoważnienia marszałka Rzeszy Hermana Göringa, każda Polka i każdy Polak zobowiązani byli do noszenia przyszytego na trwale, stale widocznego na prawej stronie piersi kolorowego (brązowożółtego) kawałka płótna o wymiarze określonym przepisami znaku "P". Oznaczenia te były fabrycznie produkowane i nigdy ich nie brakowało.

Polacy pochodzący z kresów wschodnich byli zmuszani do noszenia znaku "Ost". Oznakowania te, podobnie jak wcześniej gwiazda Dawida dla Żydów, były wyrazem pogardy dla niższej kategorii ludzi (Untermenschen) i praktycznie zachęcały ludność niemiecką do różnych form bezkarnego znęcania się nad Polakami i do demonstrowania poczucia wyższości "rasy panów" (Herrenvolk). Polityka eksterminacji narodu polskiego przez niewolniczą pracę na terenie III Rzeszy oraz ziem okupowanych należała do najważniejszych kierunków działania hitlerowców. Kat Generalnej Guberni, Hans Frank pisał w swoich pamiętnikach, że tani robotnik powinien być wysyłany setkami tysięcy - powstrzyma to biologiczny przyrost tego narodu.

Warto przypomnieć, szczególnie młodemu pokoleniu, że deportacją oraz niewolniczą pracą przymusową zostało objętych ponad 3 mln obywateli polskich, w tym 600 tys. dzieci do lat 15. Polskie ofiary hitlerowskich zbrodni pozostawiły 1,5 mln sierot i 1 mln wdów. 590 tys. Polaków stało się inwalidami, ponad 200 tys. polskich dzieci wywieziono do Rzeszy celem germanizacji. Z tego tragicznego bilansu aktualnie żyje w kraju ok. 300 tys. osób. Na tych, którzy przeżyli wojnę i hitlerowskie okrucieństwo ciąży święty obowiązek ocalenia od zapomnienia cierpień i krzywd narodu polskiego. Zbrodnie okupanta w Polsce przysporzyły morza cierpień nie tylko naszemu narodowi. Mają one charakter ogólnoludzki. Są zarazem najstraszliwszym ostrzeżeniem jakiego kiedykolwiek udzielono ludzkości.

Hitlerowskie obozy pracy w Zielonej Górze w latach 1940-1945

Okupowane przez III Rzeszę w latach II wojny światowej terytorium kilkunastu krajów umożliwiło niespotykaną w dziejach ludzkości pod względem rozmiarów i form eksploatację siły roboczej podbitych narodów. Przeprowadzana w sposób bezwzględny rekrutacja siły roboczej w podbitych krajach miała na celu nie tylko zaspokojenie stale wzrastającego w Rzeszy popytu na robotników kwalifikowanych i niewykwalifikowanych oraz ich maksymalną eksploatację w interesie faszystowskiego państwa i wielotysięcznych mas przedsiębiorców. W odniesieniu do Polaków i obywateli ZSRR była ona równocześnie narzędziem biologicznego wyniszczenia narodu. Te dwa sprzężone ze sobą cele - ekonomiczny i polityczny - stanowiły fundament wszelkich poczynań władz hitlerowskich wobec deportowanych na roboty do Rzeszy polskich obywateli, którzy niezależnie od ciężkich warunków pracy, złych warunków aprowizacyjnych i mieszkaniowych oraz stosowanych wobec nich metodycznie szykan, byli zmuszeni borykać się codziennie jeszcze z wieloma innymi, specjalnie dla nich wymyślonymi trudnościami.

Na straży tego nowoczesnego niewolnictwa stał bardzo skomplikowany, ale jednak spójny system terroru i represji. Jedną z jego cech było to, że nie opierał się on na jakimś akcie porwań, który byłby wiążący dla wszystkich organów represyjnych hitlerowskich Niemiec. Na system ten składały się dziesiątki różnego rodzaju zarządzeń, okólników, wytycznych i tym podob-

nych aktów wydawanych przez różne organy państwa i partii hitlerowskiej, względnie jej afiliowanych organizacji, zarówno szczebla centralnego jak i terenowego. Niepoślednią rolę w kształtowaniu tego systemu odgrywała praktyka represyjna, która niejednokrotnie wykraczała poza ramy pisemnych zarządzeń, opierając się tylko na ustnych poleceniach, a często była aktem samowoli tolerowanej przez władze zwierzchnie. Jedną z najistotniejszych cech omawianego systemu było to, że funkcje represjonowania Polaków i Rosjan w Rzeszy spełniały przede wszystkim organy policyjne z Gestapo na czele. Życie milionowych rzesz polskich robotników i robotnic wywiezionych do Rzeszy to jedno długie pasmo poniewierki i dyskryminacji.

Jak wykazuje dotychczasowy stan badań to również i na terenie dzisiejszej Zielonej Góry w latach II wojny światowej stworzono cały zbrodniczy system różnego

rodzaju obozów pracy niewolniczej, którego celem było zabezpieczenie przede wszystkim produkcji zbrojeniowej. Z ogólnej liczby 42 obozów istniejących w latach 1940-1945 w samej Zielonej Górze rozróżniamy takie obozy jak: zwykłe obozy pracy (Arbeitslager), obozy przy zakładach pracy (Gemeinschaftlager), obozy pracy przymusowej (Zwangsarbeitslager), obozy pracy przymusowej dla Żydów (Zwangsarbeitslager für Juden).

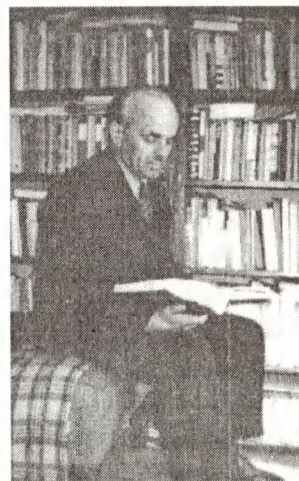
Wszystkie z wymienionych obozów bez względu na ich nazwę czy określenie spełniały jedną i tą samą funkcję – bezwzględnej maksymalnej eksploatacji siły roboczej dla potencjału wojennego III Rzeszy. Zwykłe obozy pracy lub obozy pracy zorganizowane przy zakładach pracy różniły się od pozostałych tylko tym, że przebywający w nich robotnicy i robotnice korzystały ze względnej swobody.

Stanisław Prałat

MISTRZ W SWOIM FACHU WŁADYSŁAW KORCZ

Urodził się 4 stycznia 1913 roku w Samborze w województwie lwowskim. W październiku 1951 roku obronił pracę magisterską, która powstała na seminarium z historii społeczno-gospodarczej u profesora Stefana Inglota i nosiła tytuł *Problem przemysłu w polskiej literaturze społeczno-ekonomicznej czasów stanisławowskich*. Początkowo pracował w Powiatowym Archiwum Państwowym w Jeleniej Górze, następnie na Wydziale Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej. W tym czasie Władysław związał się z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej i jako prelegent wygłaszał wiele wykładów na temat dziejów Ziemi Nadodrzańskich, pogłębiając jednocześnie zainteresowania historia regionalna. W 1953 roku zaczął na łamach prasy publikować swoje artykuły. W 1954 roku ukazała się praca Władysława Korcza pt. *Tradycje polskość na Ziemi Lubuskiej*. W Wydziale Kultury pracował do końca stycznia 1955 roku, otrzymał tam stypendium doktoranckie PAN. W styczniu 1957 roku otrzymał posadę nauczyciela historii w Liceum Pedagogicznym w Sulechowie.

„...Pewnego dnia wszedł do klasy nowy nauczyciel Historii w towarzystwie Dyrektora Antoniego Worobca. Było to Liceum Pedagogiczne w Zielonej Górze. Nazywał się Władysław Korcz. Podążył szybkim i energicznym krokiem z poważną miną. Spod krzaczkastych brwi ogarniał wszystkich taksującym spojrzeniem, aby po chwili na pozór groźnemu spojrzeniu nadać promienny uśmiech. Przejął obowiązki nauczyciela historii po pani



Józefie Świątkowskiej. Lekcje były nadzwyczajne. Wszystkim uczniom zdawało się, że uczestniczą bezpośrednio w wydarzeniach, o których mistrz opowiadał. Roztoczył przed wszystkimi barwny świat przeszłości. Uczył rozumieć skomplikowane procesy dziejowe, ze swadą i wielką kompetencją przekazywał wzorce i postawy. Potrafił rozbudzić w każdym fascynację historią...”



Jego rodzice Maciej i Anna Korczowie byli bardzo prostymi ludźmi. Maciej w młodości pracował jako parobek u bogatego chłopca. Ta ciężka i nędzna praca o włos nie zakończyła się tragedią, kiedy krewki Maciej czując się pokrzywdzony przy podziale obowiązków, a potem wynagrodzenia rzucił się na swego chlebobawcę z widłami w rękę. Oczywiście w rezul-



Rodzice Władysława Korcza
Maciej i Anna

tacie stracił pracę i musiał zaciągnąć się do armii austriackiej gdzie bezpośrednio po wybuchu I wojny światowej, w stopniu „zugfurera” (plutonowego) wyruszył na włoski front bronić monarchii habsburskiej.

Rodzice Anny mieli dziewięcioro dzieci i niewielki kawałek ziemi. Anna już jako kilkunastoletnia dziewczyna poszła na służbę do domu inteligencji galicyjskiej, ocierając się o tzw. „lepszy świat”. Dzięki skromnym oszczędnościom Maciej zakupił wąski kawałek ziemi przy ulicy Powtórniej na przedmieściu Sambora. Ojciec Władysława własnoręcznie zbudował tam skromny, drewniany, kryty gontem domek z dwoma niewielkimi pokojami i kuchnią. Profesor Korcz miał czwórkę rodzeństwa. Niedostatek był stałym gościem. Dzieci rosły i trzeba było zapewnić im możliwość nauki. Po kolei, jedno po drugim zaczynały naukę w szkołach powszechnych w Samborze. Najmłodszy z nich był Władysław. W gronie rodzinnym nazywano go Dziunek. Ukończył szkołę powszechną z oceną bardzo dobrą.



Władysław
(Dziunek)
jako dziesięcioletek



Władysław Korcz
jako
dwunastoletek

Po ukończeniu szkoły powszechnej Władysław, tak jak starsze rodzeństwo poszedł do seminarium nauczycielskiego.

Seminarium nauczycielskie znajdowało się przy ulicy Sobieskiego. Uczyli się tam dzieci miejskiej biedo-

ty lub chłopstwa. Natomiast synowie śmietanki miejskiej, czyli adwokatów, sędziów, urzędników, lekarzy zapewniali ławy szkolne w dwóch gimnazjach miejskich: przyrodniczo-matematycznym i klasycznym, a ich córki w gimnazjum humanistycznym.

Władysław w opinii dyrektora szkoły był uczniem zdecydowanie wyróżniającym się (nie tylko hardością i niesfornością) z grona seminarzystów. W języku polskim, a przede wszystkim historii nie miał sobie równych. Odczytany znacznie ponad wymagania programu szkolnego, o wybitnym talencie pisarskim znakomicie wywiązywał się z corocznych organizacji obchodów imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego patrona szkoły, z pisanem podstawowego referatu włącznie. Władysław zdał maturę bardzo dobrze i otrzymał dyplom nauczyciela szkół powszechnych, czym sprawił swoim rodzicom ogromną radość. Ogólnoświatowy kryzys uniemożliwił Władysławowi na podjęcie pracy. Bezrobotne dni Władysław wypełniał nieustannym czytaniem książek i grą w szachy.



Wieczory Władysław poświęcał królewskiej grze szachy

Ciepłe, letnie dni spędzał nad ukochanym Dniestrem, opalając się i rozkoszując kąpielami. Jedynym poważnym obowiązkiem była pomoc w pocięciu, porąbaniu i złożeniu w komórkach pokaźnej sterty drewna zwożonego na zimę. We wrześniu 1934 roku Władysław został wcielony do Dodatkowego Dywizyjnego Kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy we Lwowie. Najpierw został przydzielony do 19 pułku piechoty, stacjonującym na Lwowskiej Cytaeli, a po ukończeniu szkoły i egzaminie na podchorążego rezerwy, w stopniu plutonowego został przeniesiony do 40 pułku piechoty, stacjonującego w pobliżu cmentarza Łyczakowskiego.

Podczas jednego ze spacerów po ulicach Lwowa spotkał współredaktorkę „Naszego życia” Helenę Pelcer. Te przypadkowe spotkanie stało się początkiem wielkiej, głębokiej miłości.

Władysław jako
podchorąży we
Lwowie

Helena pracowała w Inowrocławiu, on studiował w Warszawie.

W sierpniu 1942 roku Władysław zawarł związek małżeński z Heleną Pelcer.



Władysław i Helena Korcz świeżo po ślubie

W 1954 roku powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego. Władysław Korcz stał się jego aktywnym działaczem. Na zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Historyczne w marcu 1958 roku sesji wygłosił referat na temat problemów rozwijania regionalnych badań historycznych, postulując m.in. powołanie w Zielonej Górze Stacji Naukowej PTH. Utworzono ją jesienią tego samego roku a Władysław został w niej zatrudniony jako starszy asystent.

W okresie pracy w Stacji Naukowej w latach 1958-1967 opublikował kilka książek i kilkadziesiąt artykułów. Rozpoczął również tam pisanie rozprawy doktorskiej pod kierunkiem profesora Jana Wasickiego zatytułowanej *Początki władzy ludowej na ziemiach pogranicza lubusko-wielkopolskiego w latach 1945-1950*, której obrona odbyła się 17 listopada 1969 roku na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Po utworzeniu w 1971 roku w Zielonej Górze Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, która dwa lata później przemianowano na Wyższą Szkołę Pedagogiczną, doktor Władysław Korcz został w niej zatrudniony jako adiunkt z przedziałem zajęć z elementów kultury antycznej na filologii polskiej, a następnie historii Rosji na filologii rosyjskiej. Później został wykładowcą historii średniowiecznej w Zakładzie Historii.

Po uzyskaniu pozytywnych opinii profesorów Gerarda Labudy, Jerzego Topolskiego i Jana Wasickiego 1 kwietnia 1974 roku Władysław Korcz otrzymał nominację na docenta.

W 1981 roku ukazuje się jego książka pod tytułem *Ziemia Zachodnie w badaniach historyków polskich*. W toku badań zostaje wydana rozprawa pod tytułem *Poglądy na prace w myśli społeczno-ekonomicznej polskiego Oświecenia*, która była podstawą kolokwium habilitacyjnego 1 czerwca 1981 roku w Instytucie Historii UAM.

Po ogłoszeniu stanu wojennego doc. dr hab. Władysław Korcz został zawieszony w prawach wykładowcy WSP. Powodem był wielokrotny pobyt wśród strajkującej młodzieży studenckiej i wygłoszenie wykładów o tzw. Białych plamach historii Polski, które gromadziły w auli uczelni komplety słuchaczy.

Przedwczesna emerytura Władysława Korcza spotęgowała jego pasję pisarską. W 1985 roku wydał książkę pod tytułem *Wspólniczki diabła, czyli o procesach czarownic na Śląsku w XVII wieku* i *Szkice z dziejów Środkowego Nadodrza*. W 1989 roku ukazały się jego kolejne prace: *Akiba Rubinstein* (dzieło poświęcone najwybitniejszemu polskiemu arcymistrzowi szachowemu), *Ziemia Zachodnie w badaniach historyków polskich* oraz *Patriotyczne tradycje polskiego rzemiosła*.

Ostatnia książka profesora, która wyszła drukiem po jego śmierci, była wydana w 1998 roku przez Lubuskie Towarzystwo Naukowe pod tytułem *Odra w dziejach Polski*.

Władysław Korcz poświęcił swoje życie nauce i pracy z młodzieżą oraz podróżom i szachom.

Jako turysta szczególnie umiłował kajakarstwo turystyczne.



Władysław przemierzył wielokrotnie kajakiem wszystkie szlaki Ziemi lubuskiej. Był autorem wielu przewodników turystycznych i krajoznawczych. Wydał m. in. *Przewodniki: Lubuski szlak wodny, Województwo zielonogórskie oraz Zielona Góra i okolice*.

Władysław Korcz zmarł nagle w wieku 84 lat 8 lipca 1997 roku. Pochowany został na zielonogórskim cmentarzu obok żony Heleny, nauczycielki historii. Pozostawił dwójkę dzieci: Jadwigę, absolwentkę geografii i Władysława, wielokrotnego reprezentanta Polski w strzelectwie. Odszedł tak jak zawsze sobie tego życzył – w pełni władz umysłowych i cielesnych.

Daniel Głowiński

Literatura

- Korcz-Dziadosz J., *Życie z sensem*, Zielona Góra 2002.
Muszyński J., Władysław Korcz (1913-1997), *Studia Zielonogórskie* – t.4 (1998).
Znani Zielonogórzanie XIX i XX wieku: praca zbiorowa pod red. Hieronima Szczegóły, cz. 2-Zielona Góra 1999.
Ludzie Środkowego Nadodrza: wybrane szkice biograficzne (XII-XX wiek): praca zbiorowa pod red. Kazimierza Bartkiewicza, Zielona Góra 1998.
Robowski A.W., Odszedł przyjaciel Gubina, *Wiadomości Gubińskie* – 1997, nr 16.
Stroynowski J., Sylwetki przewodników PTTK (Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Zielonej Górze), *Regionalne Informatorium Województwa Zielonogórskiego* 1994, nr 6.

Zapomniane restauracje Zielonej Góry cz. 1 Louisenenthal – „Dolina Louizy” – Wągmostaw

Na przestrzeni wieków w Zielonej Górze istniało bardzo wiele restauracji. Niektóre z nich były bardzo duże np. posiadały werandy bądź różnej wielkości ogródki. Widoki tych restauracji stały się częstym elementem prezentowanym na pocztówkach. Inicjatorami wydania tych pocztówek byli najczęściej ich właściciele, którzy na większości z nich podawali swoje nazwisko oraz informacje o rodzajach prowadzonej działalności. Duża część oprócz gastronomii prowadziła usługi hotelowe, co zwłaszcza podkreślano w owych tekstach reklamowych. Ważnym dokumentem ikonograficznym są pocztówki prezentujące wnętrza restauracji, ponieważ prezentują styl i rodzaj wystroju ówczesnych zielonogórzan. Dziś większość owych restauracji nie istnieje, lub zostały przebudowane, a budynki, w których się znajdowały pełnią inne funkcje.

Na planie miasta Zielonej Góry z 1879 r. widać wzgórze nad strumykiem Maugscht. Przez wiele lat nad brzegiem strumyka stał Młyn Semmlera, nazwany tak na cześć burmistrza Wenzela Semmlera, który kierował miastem za czasów austriackich. 24 lipca 1887 r. w tym miejscu swoją restaurację otworzył Hermann Schulz. Miejsce na cześć pruskiej królowej nazwał – Louisenthal – Dolina Louizy.

Wkrótce powstała tam wspańska restauracja z salą balową, kregielnią, kawiarenką, przystanią z kajakami i łódkami. Na parterze znajdowała się sala balowa ze sceną, jeden pokój gościnny, przebieralnia, sień, bufet z kuchnią. Na piętrze zaś można było przenocować gdyż znajdowało się tam pięć pokoi, w tym pokój dla kobiet oraz jeden pokój biurowy.



Pozdrowienia z Doliny Luizy w Zielonej Górze – 1899 r. „Zielona Góra na starej pocztówce ze zbioru Grzegorz i Krzysztofa Biszczanik”, Zielona Góra 2005

Na początku wieku w Zielonej Górze było ok. 50 kawiarenek, restauracji i oberży. Wszystkie chętnie były odwiedzane, ale najchętniej ludzie bawili się w Dolinie Louizy. Była ona niewątpliwie najpopularniejszym miejscem rozrywki i jednym z piękniejszych miejsc w Zielonej Górze. Cała dolina położona była w przepięknej okolicy otoczonej winnicami i drzewami, niedaleko od centrum miasta.

W latach 20 XX w. restaurację zaczęli prowadzić bracia Bohrowie. Latem otwierali mini – hotelik, w którym można było przenocować.

W kwietniu 1934 r. złożono do zielonogórskiej policji budowlanej plany wybudowania wiaty na wodzie, która miała służyć muzykom przygrywającym gościom znajdującym się w kawiarni.

W ośrodku organizowano nie tylko bale i koncerty, ale także akcje charytatywne np. 1937 r. Grunberger – Polizei obchodziła swoje dni w czasie, których został zorganizowany poczęstunek dla 120 najbiedniejszych dzieci z miasta.



Restauracja w „Dolinie Luizy” – pocztówka z 1937 r. „Zielona Góra na starej pocztówce ze zbioru Grzegorz i Krzysztofa Biszczanik”, Zielona Góra 2005

Po wojnie Dolina Louizy zmieniła nazwę na Wągmostaw (od pierwszej powojennej nazwy dzisiejszego Zastalu czyli WAGMO). W latach powojennych w Wągmostawie grała orkiestra zakładowa i odbywały się dancingi. W 1957 r. zapadła decyzja o zamknięciu Wągmostawu.

Z czasem źródło zwane Gęślikiem zasilające niegdyś młyn zamieniło się w ściek. Najpierw zamknięto kąpielisko potem restaurację. W latach 90 w obiekcie zamieszkiwało kilka rodzin jednak pozostała część dawnej restauracji była nie zagospodarowana.



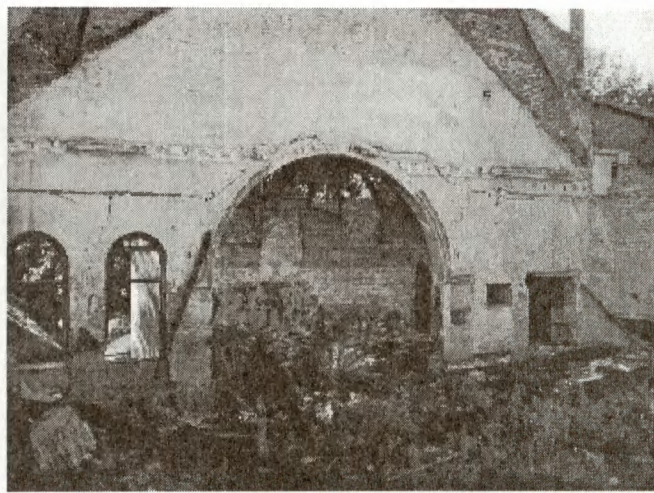
Restauracja w "Dolinie Luizy"
– stan na 2004 r.

Fot. Grzegorz Biszczyński

Na początku 2002 roku były plany zagospodarowania obiektu poprzez stworzenie na miejscu dawnego młyna sali konferencyjnej, restauracji oraz niewielkiego hoteliku.

Wiosną 2002 roku obiekt niewyjaśnionych okolicznościach spłonął i do dnia dzisiejszego dawna restauracja popada w ruinę. Dziwne i smutne to zjawisko, ponieważ Dolina przetrwała kilka pożarów, wojny, by nagle dla zielonogórczan stracić swój urok.

Grzegorz Biszczyński



Wnętrze restauracji i głównej sali zabawowej
– stan na 2004 r.

Fot. Grzegorz Biszczyński

Bibliografia

- Adressbuch 1914/15 von Grünberg i. Schl., Grünberg i. Schl. 1915
Akta Miasta Zielonej Góry
Czyżniewski T., "Bad Grünberg", "Gazeta Lubuska" z dnia 13 sierpnia 2004,
Sałacka S., "Królewska dolina", "Gazeta Wyborcza" z dnia 18 marca 2002,
Piotrowski Z., Ostatnie pikniki na zielonogórskim Wągmostawie [w:] Gazeta Wieku. Wiek XX w Zielonej Górze i okolicach, Zielona Góra 2000
"Zielona Góra na starej pocztówce ze zbioru Grzegorz i Krzysztof Biszczyński", Zielona Góra 2005

Z pamiętnika mojej mamy

Mój pradziadek, wraz z rodziną całe życie spędził pod zaborem, dziadkowie także w państwie pruskim, ale od 1918 już w kraju ojczystym, zaś od roku 1939 w Kraju Warty [hitlerowcy tak nazwali ziemię wielkopolską włączoną do III Rzeszy]. Rodzice żyli w czasach pruskich, ale po Powstaniu Wielkopolskim z pogranicza przenieśli się do Gniezna, gdzie moja mama urodziła mnie i dwie moje siostry. W 1939 roku Niemcy wywieźli nas do Generalnego Gubernatorstwa. Moje szczęśliwe dzieciństwo przypadło na czas okupacji w Piotrkowie Trybunalskim, bez prawa opuszczenia tego miasta, pod karą śmierci. W roku 1945 prawo to przestało obowiązywać i ponownie znaleźliśmy się w pierwszej stolicy naszego kraju. Mój ojciec, mama i starsza siostra, nie przeżyli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nawet po sen ostateczny nie przypuszczali, że to się może zmienić. Z tej rodziny pozostała tylko moja młodsza siostra, która podobnie jak ja zamieniła rodzinne Gniezno na Zieloną Górę. Historia okazała się dla nas łaskawa, zatoczyła koło i my urodzeni w okresie międzywojennego kapitalizmu chyba pomrzemy w tym samym ustroju, po doświadczeniach, których nawet wrogowi nie powinno się życzyć.

Moja rodzina nie żyła historią. Nawet nie wiem, czy poza wiedzą, że Prusak to wróg, zdawano sobie sprawę, że Wielkopolska w obrębie tego państwa znalazła się dopiero po drugim rozbiórce w 1793 roku. Z pozycji Chobienic, Iwna czy Sannik, Prusy to były całe Niemcy. Egzystencja uzależniona była od przestrzegania prawa, hodowli koni i uprawy roli. Lojalność i dyspozycyjność moich dziadków, wobec Jasnie Państwa była częścią ich świadomości i pozostawała poza sferą jakiegokolwiek dyskusji. Historia rodziny to zrzęcenie losu, który wplątywał ich w liczne wojny. Pradziadek był na trzech wojnach, które toczyli Prusacy - duńskiej w 1864 roku, austriackiej w 1866 i francuskiej na przełomie lat 1870/71. Dziadek bił się w pierwszej wojnie światowej w 1914 roku, a potem podobnie jak mój ojciec, brał udział w czynie zbrojnym Powstania Wielkopolskiego. Ojciec ponownie walczył z Niemcami w 1939 roku.

Ja tylko przeżyłem okupację. W Gnieźnie wpadłem w złe harcerskie towarzystwo i zbyt szybko chciałem do Europy, bez zezwolenia, właściwych dokumentów i przekraczając granice nie w tym miejscu. Odsiedzialem swoje w WW2 [Wrocław, Wieszanie nr 2 ul. Sądowa].

Moje intensywne życie zawodowe w Zielonej Górze przypadło na czas narad, posiedzeń, odpraw, a nawet prasówek prowadzonych obowiązkowo do końca lat 50-tych. Ponieważ te ostatnie były ostentacyjne lekceważone, wyrobiłem w sobie nie tyle odruch obronny, ile nawyk rysowania na prawie każdym posiedzeniu. I to właśnie pozostało mi do dzisiaj.

W latach 60-tych i 70-tych przyjeżdżał do Lubuskiego Towarzystwa Naukowego prof. Andrzej Kwilecki. Podczas jego wykładu w Komisji Socjologii, robiłem rysunek dotyczący metodologiczno-teoretycznego podejścia do struktury społecznej w aglomeracji miejskiej. Uczony siedzi na słupie wysokiego napięcia, bez możliwości zejścia i przy pomocy lornetki bada uwijającą się na dole wspólnotę społeczną mieszkańców. Profesor powiedział mi, że przedłużył wykład, abym mógł zakończyć rysunek. Potem okazywał mi wiele sympatii, na którą sobie nie zasłużyłem.

W roku 1998 ukazało się dzieło Profesora Andrzeja Kwileckiego, prawie 500-stronicowe, "Ziemiaństwo wielkopolskie" [Instytut Wydawniczy Pax]. Poprosiłem o autograf, a potem ośmielony serdecznym wpisem poinformowałem o spisanym pamiętniku mojej mamy obejmującym w dużych fragmentach życie jej rodziny na ziemi babimojskiej w dobrach hrabiów Mielżyńskich. Jedno mi utkwiło w pamięci. W opinii Profesora, są to cenne materiały, ukazujące bowiem życie ziemiaństwa od strony służby, chłopską świadomość niejako z drugiej strony. Takie zapiski mają wartość dokumentu biograficznego. Jest to także zjawisko socjologiczne jako zapis służby bez chęci zaistnienia w literaturze, ale dające świadectwo tożsamości poddanych ziemiaństwu wielkopolskiemu. Profesor Andrzej Kwilecki, związany z Instytutem Zachodnim, dyrektor Instytutu Socjologii na Uniwersytecie Poznańskim, wykładowca w Ecole des Hautes Etudes en Science Sociales w Paryżu, szczególnie zasłużony w dziele opracowań ziemiaństwa oraz osadnictwa na Ziemiach Zachodnich, zdecydował ostatecznie, że pokonałem poczucie prywaty i przeznaczyłem fragmenty pamiętnika mojej mamy do druku.

Dnia 5 lipca 1982 moja mama napisała:

"Urodziłam się 29 marca 1904 roku... mam już 78 lat. Jestem już starą kobietą. Ale wydaje mi się, że te lata szybko minęły... Dzieciństwo moje zaczynało się w Iwnie. Jest to duża i ładna wieś. Jest w niej pałac, czyli mieszkanie hrabstwa Mielżyńskich... Pałac był wybudowany w parku. Ten park był pięknie zagospodarowany. Pałac miał jak gdyby dwa fronty. Od parku były schody... jak by na jedno piętro... po bokach filary wysokie... z drugiej strony był tam szeroki taras stale używany. Czy jak goście przyjechali, czy jakie uroczystości, to tam się wszystko odbywało... W środku był duży hol... tam były różne obrazy... jeden pamiętam, był to obraz większy jak drzwi. Przy stole siedzieli panowie z długimi włosami w kapeluszach i grali w karty, a za jednym stał diabeł z rogami i coś pokazywał na palcach jednemu z tych co grali. Obraz był w kolorze ciemnym, były też inne obrazy... stało pianino i różne fotele głębokie. Do góry były salony, czerwony, niebieski i różowy. Ja dużo tych pokoi znam... Ten różowy to był pani hrabiny. Hrabina miała swoją sypialnię, swój buduar, swoją pannę służącą, która była na jej usługi. Rano już czekała na korytarzu przed drzwiami, żeby być na dzwonek

do usług. Hrabia miał osobną sypialnię i też służącego do swojej dyspozycji. Był to chłopak może 18 lat, syn stangreta... ożenił się z panną, którą mu pan hrabia wskazał. Ale chyba się kochali... To była ładna dziewczyna, na imię miała Rozalia. Ona mnie lubiła i ja ją też... Raz widziałam jak ją hrabia szczypał po policzkach i w kącie obmacywał, ale udałam, że nie widzę i nikomu nic nie mówiłam...

Do pałacu przybudowana była oranżeria. Mieli tam piękne palmy i merta to była jak drzewo. W tej oranżerii mieli piękne kwiaty takie jak teraz do kościoła na Wielkanoc noszą. Przed pałacem był duży klomb obsadzony różami... a na wojnie w 1914 roku hrabina kazała nasadzić tam czerwonych buraków... Hrabina zorganizowała taki kurs, uczyła nas o Polsce, historii i różnych wierszy... Szylili my dla siebie spódnice takie wiejskie, materiał kupowała sama, nie wiem czyśmy to odpracowali, ale chyba nie... W wojnę w 1914 roku sprowadziła dla całej wsi buty i sama też jedną parę nosiła... Całą gospodynią w Iwnie to była hrabina, hrabia stale jeździł do Poznania.

Z drugiej strony parku wychodziło się znowu do jeziora. Tam była lodziarnia, czyli taka wielka piwnica okryta ziemią, że nawet krzaki i małe drzewka na niej rosły. Tam zimą nawozili lodu, że starczyło na całe lato... Od drugiej strony parku były zabudowania, myśmy to nazywali oficyną. Pamiętam, chodziłam z hrabiną tam po cukier, który był w olbrzymich skrzynkach, miód pszczeli, kielbasy, suszone grzyby, różne zaprawy, te co w pałacu się nie mieściły albo nie mogły tam być. W tym cukrze to było pełno mrówek... raz zobaczyłam tam szczura, nie mógł wyjść bo beczka tylko do połowy była wypełniona pszenicą. Ja zawołam psa pani hrabiny i go do tej beczki wsadziłam... zagryzł szczura, który tak był obżarty tą pszenicą, że był gruby jak żaba. Pies ze szczurem wyskoczył i uciekł do parku. Ja myślałam, że zrobiłam dobrze i się pani hrabinie pochwaliłam, że Szwypas zagryzł szczura, a ona na mnie krzyczała jak mogłam jej psa na szczura puścić. Miałam go sama zabić i zakopać.

Ja z hrabiną chodziłam po ten cukier bo hrabina obawiała się, że zostanie okradziona... Hrabina jak miała dobry humor to odzywała się przyjaźnie do mnie. Powiedziała: - "Cukier trzeba oszczędzać, gdyż będzie jeszcze droższy". "Dlaczego, przecież rośnie tyle cukrówki?" [buraki cukrowe - J.M.] - zapytałam. "Bo robotnik jest za drogi, ale przyjdzie jeszcze czas, że będą pracowali za jedną cebulę" - odpowiedziała. Gdy miałam 18 lat przez rok byłam w pałacu jako elewka uczyć się gotować. Jedzenie hrabstwo to mieli raczej skromne, prawie wciąż równe. Hrabia często mówił przy obiedzie, że jedzenie jest kiepskie. - "Mój stangret żre lepiej" - tak krzyczał. W piwnicy wisały całe nogi wołowe, połowa cielaka, skopy czasem całe. To jak się zaczęło psuć i śmierdzieć, to całe kupy mięsa nosiłam do jeziora dla ryb. To jak wrzuciłam i chwilę postało, to już do tego mięsa przypląwały ryby, takie półkilowe karpie albo może większe. Hrabstwo nie pozwolili się w tej wodzie kąpać. Gdy raz mój brat wykopał psa to hrabina z taką złością przyleciała i powiedziała: "jak jeszcze raz zobaczę, że w moim stawie kąpiecie psa to go każę zastrzelić". Hrabina zła, aż czerwona, a tego psa sami pożyczali jak polowali na kaczki. Jak kaczka wpadła na środek jeziora to popłynął i zawsze przyniósł. Nazywał się Moroł. Jak chłopaki w szko-

le się pokłócili z moimi braćmi to też ich nazywali: - "ty Morole". Jak polowali na kaczki to hrabina go sobie pożyczła. Kiedyś brat Stefan, już był duży chłopiec, jak zaprowadził psa, to kazała mu wchodzić pod pas w wodę i żeby jej naganiał kaczki, kiedy nie nagnał jej żadnej, to uderzyła go w twarz. Bardzo to jej pamiętał. W czasie jak ojciec był na wojnie 1914 roku to go zastrzelili taki leśniczy, który koniecznie chciał tego psa od ojca kupić. Ojciec mu powiedział, że wolałby mu krowę sprzedać jak tego psa. Był to pies polownik, czarny z falowaną sierścią jak najładniejsza ondulacja.

W szkole pierwszy rok uczyliśmy się po polsku. Rano gdy wszedł nauczyciel to wszyscy wstali i - "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus"...pisaaliśmy na tabliczkach rysikiem. Tabliczki musiały być czyste i ramka wyszorowana. Z jednej strony były linie do pisania, a z drugiej kratka do rachunków. W szkole musieliśmy siedzieć cicho po czterech w jednej ławce. Z jednej strony byli chłopcy, z drugiej dziewczęta, a w środku ganek. Nauczyciel nazywał się Kunicki, bardzo ponury bez uśmiechu. Stale się kłócił ze swoją żoną, potem mścił się na dzieciach. Po nim przyszedł młody nauczyciel, nazywał się Podlak, on dostawał często, myśmy to nazywali wielką chorobą. Jak dostał atak, to my wszyscy uciekli ze szkoły. Starsze chłopaki to już się nie pozwolili bić. Nauczyciele bili za naukę, za błędy, za posłuszeństwo. Przed szkołą był duży plac ogrodzony drewnianymi sztachetkami...były ubikacje osobne dla dziewcząt, osobne dla chłopców... Raz spadł samolot, może kilometr od szkoły. To myśmy poszli z nauczycielem oglądać... nazywali my to aeroplan. Na drugi dzień robiliśmy z tego wypracowanie.

Wysłałem ze szkoły w roku 1918. Świadeństwo było po niemiecku. Dobrze się uczyłam, ale byłam pyskata. Powiedziałam nauczycielowi, że nie chcę świadectwa, bo będzie Polska to nie będzie potrzebne. To mi nauczyciel powiedział, że jak będę potrzebować świadectwo szkolne to muszę kupić za 50 fenigów, ale że jestem frechowna to muszę dać 1 markę. Inny nauczyciel nazywał się Ferdynand Brand. On już patrzył za takimi starszymi dziewczynkami...

Jest tam w Iwnie bardzo ładny zbudowany w formie krzyża kościół, jest do dziś taki, jak był dawniej. Po wojnie w 1918 roku hrabia przychodził do kościoła zawsze jako wojskowy. Pamiętam, że miał czapkę z takim pióropuszem, to ją tak nosił w kościele jak świętą. Później chodził już w zwykłym ubraniu. Ksiądz zawsze czekał z nabożeństwem aż przyszli, przeważnie wiele się nie spóźniali. Hrabia z hrabiną do kościoła w niedzielę chodzili, mieli specjalną ławkę pięknie rzeźbioną wyściełaną czerwonym aksamitem, po prawej stronie ołtarza. Po mszy przy ołtarzu całowali krzyż. Z kościoła wychodzili pierwsi, za nimi ludzie. Oni stanęli przed kościołem. I ci co wychodzili z kościoła pchali się do nich, tłoczyli, żeby hrabstwo przywitać przez pocałowanie w rękę. Starsze kobiety to nawet hrabiego całowali po rękach mimo, że się wzbraniał. Starsi ludzie, babcie, dziadkowie, kłaniali się czapkami aż do ziemi. Gdy już państwo odeszli, to z kościoła wychodzili ci, co albo dłużej się modlili albo nie chcieli się witać z państwem. Zauważyli, że jak przyszedł i się nie przywitał to przy okazji powiedzieli, że nie przyszedł się przywitać.

Mieszkaliśmy w Iwnie w pięknym domu. Nazywał się portyjerka dlatego, że stał przy bramie, która była wyjściem do parku. Brama była żelazna, przeszło dwa metry wysoka, po bokach były dwa wielkie filary, na wierzchu duża kula. Dom ten jeszcze w Iwnie stoi, był w formie jakby kaplicy... okrągłe okna na dole, była duża sień i duży pokój z dużą wnęką co nadawało mu tę formę, była kuchnia podłużna, raczej wąska, duży piec i schody na piętro. Tam były dwa pokoje, jeden nad tą wnęką, a drugi od frontu. W tym jednym pokoju ja mieszkalam, raczej spałam z babcią, bo to był pokój babci, myśmy mówili babusia... Ten pokój był od strony parku, jak my otworzyli okno to gałęzie kasztanów sięgały do okna. A ptaszki jak tam pięknie śpiewały, teraz nie słyszy się tych śpiewów. Wieczorem w maju to słowiki...Takie to były uroki parku i wsi, dopiero teraz na stare lata to człowiek ceni.

Do Chorzalek to my się przeprowadzili jak ja miałam 8 lub 10 lat, po wojnie i po powstaniu w Poznaniu. Ojciec dostał duży rewir i się musieliśmy przeprowadzić. Chorzalki to był jeden tylko dom, bo podczas burzy wieś się spaliła. Ludzie mówili i to pewno była prawda, że to było podpalenie. Bo rodziny się wszystkie wyprowadziły do innych wsi, budynki były puste, my jako dzieci często żeśmy tam latali po tych pustych domach. Pamiętam jak była silna burza, dawniej zawsze były silne burze, a myśmy z babcią i mamą klęczeli przy łóżku i się modlili. A ojciec nasz wszedł do pokoju w skórzanym płaszczu i kapeluszu, zmoknięty aż ciekło na podłogę i powiedział: - "No już Chorzalki się palą". To jak trochę przestało padać wyszliśmy to sobie przypominam i nie zapomnę tego, jak ogień na szerokość szosy szedł, aż mi się zdawało, że pod chmurą. Od tego czasu bardzo się bałam burzy i mówiłam nieraz, żeby wciąż była zima. W Chorzalkach mieliśmy cały dom pod słomą i całe zabudowania pod strzechą, a były, dom, stodoła, szopa do drzewa, zwyngier dla psów i duży chlew, taki jak dom, studnia kręcona na łańcuch, kawałek ogródka, szopki dla kurcząt i to wszystko co opisałam tak kolejno to było w jednym kole. Była jeszcze brama szeroka i naprzeciw, trochę z boku wyjazd na łąkę, a w środku podwórza mała sadzawka dla kaczek. Po paru latach wyprowadziliśmy się do Sannik. Była to taka średnia wieś, przemysłu tam nie było. Było tylko duże podwórze. Zawiadywał tam zawsze agronom. Mieli tam kuźnię i zakład kołodziejski i suszarnie do zboża i dosyć dużą stadninę żrebacków. Kołodziejem tam był Józef Muszyński, mój przyszły teść, ojciec mojego męża. Ludzie pracowali na tak zwanym zaciągu. Później hrabia sprzedał Sanniki jednemu Niemcowi, to las został dołączony do Iwna i Chorzalek, czyli lasu nie sprzedał. Przed wojną w 1937 roku zaczął się o te Sanniki starać jeden kupiec z Gniezna, Groblewski, który miał duży sklep konfekcyjny na ulicy Chrobrego. Niemcowi zostało jeszcze dwa lata do końca dzierżawy. Zarzucili mu, że ma pole zachwaszczone i wyprocesowali przez sąd te dwa lata. Wkrótce potem wybuchła wojna 1939 roku. I zaraz na początku przyszło gestapo do Sannik do Groblewskiego i został aresztowany po zarzucie, że znaleźli u niego broń. Mówili ludzie, że Niemcy sami postawili karabin za drzwiami i to był powód. Groblewski został rozstrzelany w Kostrzynie na rynku..."

Jan Muszyński

Procesy o czary w Zielonej Górze i okolicach w XVII wieku

Krótki rys historyczny

W średniowieczu, jak i w czasach późniejszych, Kościół odgrywał w życiu ludzi bardzo istotną rolę. Każde wydarzenie miało związek z Kościołem chrześcijańskim. Był protektorem, pocieszycielem, lekarzem, określał cel i sens życia ludzkiego. Posiadał bardzo duży wpływ na ludzi i z tego powodu, gdy pojawiły się herezje stanął w obronie swych interesów. W 1215 roku powołano do życia Święte Oficjum, które było zbrojnym ramieniem służącym walce z wszelakimi odstępstwami od wiary chrześcijańskiej.

Jednocześnie Kościół zrównał heretyków z czarownikami czyniąc, z tych pierwszych, nieprzejednanych wrogów chrześcijan. Jednakże dopiero wiek XVI pokazał jak ważną rolę pełniło owo zbrojne ramie. Jest to wiek ruchów reformator-



Spalenie czarownic w 1528 r.

skich, wojen o hegemonię na Starym Kontynencie i jednocześnie odkrywanie nowych lądów (odkryć geograficznych).

Jest to również wiek eskalacji prześladowań prowadzonych na tle religijnym, przejawiających się w procesach skierowanych przeciwko czarownikom. Badacze tego zagadnienia są zgodni co do końcowych ram tego okrutnego zjawiska. Jednak nikt nie potrafi określić, kiedy się rozpoczęły polowania na czarownice. Pewne jest to, iż przez 1486 rokiem, w którym to ukazało się dzieło *Młot na czarownice*, dwóch niemieckich dominikanów - Jakuba Sprengera i Heinricha Kramera. Twierdzenie to zostało oparte na treści powyższego dzieła, gdzie obaj dominikanie udowadniali swe racje na materiale uzyskanym z przeprowadzonych przez nich procesów. Dzieło to stało się podręcznikiem dla wszystkich inkwizytorów.

Wspomniani wyżej niemieccy dominikanie dowodzili, iż "niewiasta została stworzona przez Boga nie z gliny, a z krzy-

wego jeno żebra i już w Raju dała się uwieść diabłu, bo zło w niej tkwi od momentu powstania. Dlatego też jest skłonna służyć diabłu z wrodzonej złośliwości, a oddać się mu z zachłannością seksualnej". Nawet papież Pius II całe zło widział w postaci kobiety. Wyraził to słowami: "Gdy widzisz kobietę, myśl, że to diabeł! Ona jest rodzajem piekła". Przypuszczalnie polowania na czarownice na zachodzie Europy rozpoczęły się na przełomie XII i XIII wieku. Często ten okrutny zabobon łączy się z walkami religijnymi (np. południowa Francja czy zachodnia część Niemiec). W drugiej połowie XV oraz XVI wieku sprawy tego charakteru jeszcze bardziej się nasiliły.

Każdy kto odważył się wątpić w stosunki czarownic z diabłami, uchodził za ateistę lub nawet współnika szatana i narażał się na prześladowania. Prawie całą Europę ogarnął szal poszukiwań diabelskich współpracowników - czarownic. Bohdan Baranowski szacuje, iż w okresie XV - XVI wieku życie straciło około miliona osób na skutek tych prześladowań. Pewne otrzeźwienie nastąpiło w końcu wieku XVIII, co było podyktowane popularną wówczas myślą humanistyczną oraz coraz częściej występującym zakazem stosowania tortur w czasie prowadzenia śledztwa.

Polskie realia

Podczas, gdy na zachodzie Europy polowania na czarownice osiągnęły swój punkt kulminacyjny w naszym kraju nie dostrzegano zagrożenia ze strony ludzi parających się czarami. Stosunkowo nieliczne procesy miały odmienny charakter niż tego rodzaju przypadki na zachodzie kontynentu. W większości dotyczyły one praktyk znachorskich, które nie miały nic wspólnego z kultem szatana.

Pierwszy wyrok śmierci w procesie o czary wydał sąd miejski w Wąlszewie k/Poznania w roku 1511. Na ogół jednak przez całe szesnaste stulecie procesy takie zdarzały się dość rzadko, i to tylko w większych miastach Wielkopolski i Prus Królewskich. W 1543 r. problemem sądenia czarownic zajęła się konstytucja sejmowa, która ustaliła, że wszystkie tego rodzaju sprawy należą do kompetencji sądów kościelnych. Późniejsze konstytucje zasadę tę potwierdzały. Jednak w praktyce było inaczej. Tylko sądy w miastach specjalizowały się w sądeniu oskarżonych o czary. Również ze względu na to, iż osoba oskarżona musiała zostać poddana torturom, którą to czynność najlepiej wykonywano w ośrodkach miejskich.

Podobnie jak większość przejawów nietolerancji religijnej tak i oskarżenia o czary kierowane były głównie przeciwko chłopkom i uboższym mieszczańkom. Szlachciankom, na mocy przywilejów, nie można było wytaczać spraw sądowych. Przywilej wydany przez Władysława Jagiełłę zapewniał szlachcie nietykalność.

Zasada *niemnem captivabimus nisi iure victumi* zakładała konieczność udowodnienia winy, a tym samym automatycz-



Ryc. 2. Palenie czarownic.

nie wyłączała szlachtę z procesów. Przedstawiciela tego stanu nie wolno było brać na tortury, a bez nich trudno było o niepodważalny dowód winy w postaci dobrowolnego przyznania się.

Zdarzało się, że na żony bogatych i szanowanych mieszczan spadało podejrzenie o uprawianie czarów, jednak wówczas niebezpieczeństwo szybko odpędzano. Jako przykład można podać sprawę mieszczanina z Kobylina, którego żonę pośadzono o czary w 1673 r. W tym przypadku wystarczyło poświadczenie innego bogatego mieszkańca tej miejscowości, aby oskarżoną zwolniono z aresztu. W całej historii polowań na czarownice w Rzeczypospolitej zdarzył się tylko jeden przypadek, gdy szlachcic padł ofiarą zabobonu za spowodowanie, rzekomo, zarazy na Wołyniu w 1738 r. Jednakże nie spłonął w wyniku wyroku sądowego, lecz samosądu do którego namówiło włościan paru przedstawicieli miejscowej szlachty oraz ksiądz.

Polowanie na czarownice na terenie miasta Zielona Góra i okolicach

Na ziemiach polskich rozprzestrzenienie zjawiska polowań na czarownice było niejednakowe. Znacznie silniej występowało na terenach Śląska, Wielkopolski oraz Pomorza niż we wschodniej części państwa. W XVII wieku dociera do Rzeczypospolitej dzieło Springera i Kramera, które przetłumaczył Stanisław Ząbkowicz w 1614 r. Przekład ten przyczynił się do rozkwitu tragicznego w skutkach procederu ścigania służebnic szatana. Autor jednej z monografii o czarownicach nazwał je "najbardziej przerażającą książką w dziejach piśmiennictwa europejskiego".

W wieku XVII Śląsk, a wraz z nim Zielona Góra, znalazł się w obszarze działań wojennych ze Szwecją. Dodatkowo ciężar wojny trzydziestoletniej i szereg klęsk żywiołowych zaważyły na życiu w miastach i wsiach. W Zielonej Górze pierwszymi ofiarami przerażającego zabobonu stały się kobiety spalane na stosie w 1640 r. Wyrok wykonano na rozkaz dowódcy oddziału szwedzkich wojsk, stacjonujących wówczas w mieście. Według, nie znanego bliżej, kronikarza Reichego 23 kwietnia 1640 r. spalono żonę wachmistrza, markietankę i żony dwóch żołnierzy za uprawianie czarów.

Ten sam kronikarz podaje również informację o tym, iż 14 lat później "starą Funck z Łużyc w 84 roku życia jako czarownica ściętą, a następnie spalona została". Sprawę Funck badał niemiecki historyk H. Schmidt, który powołując się na zapiski o działalności zielonogórskiego sądu z lat 1651

– 1653. Dzięki temu wiemy, iż Funck została oskarżona przez swoją sąsiadkę o spowodowanie choroby krowy oraz nieudany wypiek chleba. Ponieważ Łużyce, jako wieś której właścicielem było miasto, podlegały sądowi miejskiemu proces toczył się w Zielonej Górze.



Ryc. 3. Ważenie kobiety podejrzanej o czary. Na lewej szali młoda kobieta, na prawej odważniki.

Procesy o czary w mieście zaczęły się na dobre od 1663 r. W ciągu kilku lat skazano na śmierć kilkanaście kobiet, przeważnie z okolicznych wsi: 3 z Krępy, 1 z Zawady, przynajmniej 7 z Przylepu, 3 z Płot, 3 z Raculi, z Nowego Kisielina – 4 oraz po jednej z Jędrzychowa i Czarnej.

Podstawą procesów stało się oskarżenie wniesione przez pana na Przylepie, protestanckiego deputowanego – Melchiora von Landskrona, przeciwko mieszkance wsi. Spalono ją na stosie w lipcu 1663 r. Stracona kobieta w czasie przesłuchania wskazała cztery współniczki, które rychło aresztowano. Te z kolei wymieniły kolejnych pięć kobiet. Wszystkie kobiety zostały spalane w 1663 r. Schemat ten jest podobny do łańcuszka i mógł się ciągnąć bardzo długo zarazem jest również charakterystyczny dla większości procesów.

Jednakże zdarzył się precedens w czasie śledztwa ponieważ jedna z oskarżonych wskazała jako swe współniczki żony bogatych i szanowanych obywateli Zielonej Góry: Elżbietę Grass, Dorotę Jeuthe oraz Elżbietę Apelt. Był to precedens z tego względu, iż stracone kobiety były biednymi chłopkami, a w przypadku wymienionych kobiet oskarżenie padło na niewiasty z wyższych sfer miejskich. Gdy zawisło nad nimi widmo tortur uruchomiono cały aparat wpływów mających uniemożliwić proces oraz uwolnić oskarżone spod zarzutu. Zaczęła się batalia pomiędzy mężami domniemanych czarownic a sądem.

Panowie Jeuthe i Apelt wystosowali do sądu pismo w celu odroczenia terminu konfrontacji z kobietą, która wskazała ich żony. Mniej szczęścia miał mąż Elżbiety Grasse (aresztowano ją już w 1663 r.). Na nic zdały się osobiste zapewnienia małżonka i obietnica zapłacenia kaucji w celu uwolnienia żony. Sędziowie pozostali nie ugięci. Na początku 1664 r. Grasse została poddana przesłuchaniu, jednak nie przyznała się do stawianych jej zarzutów. Przesłuchano również pozostałe dwie kobiety, które przebywały na wolności.

Zielonogórski sąd zaczął obawiać się odpowiedzialności za przebieg sprawy w wyniku, czego szukał rady sędziów z Lwówka Śląskiego, jako bardziej kompetentnych. Tamtejsi sędziowie stwierdzili, iż Elżbietę Grasse należy poddać tortu-

rom. Jednocześnie pogorszyły się, poprawne dotąd, stosunki pomiędzy panami Apelt i Jeuthe a sędziami zielonogórskimi. Na ten stan rzeczy miał wpływ list obu mężów skierowany do władz Głogowa z doniesieniem o nadużyciach w śledztwie oraz o wymuszaniu torturami zeznań. Zielonogórski sąd nakazał aresztować obie kobiety (zostały one zatrzymane w areszcie domowym) i nałożyć kary grzywny.

W lipcu 1664 r. Grasse została poddana torturom w wyniku, których przyznała się do stawianych jej zarzutów. Wykonanie wyroku zaplanowano na styczeń 1665 r. Jednak wcześniej kobieta odwołała swe zeznania i odroczone egzekucję. W tej sytuacji sąd ponowił badania. Elżbieta Grasse została stracona w lutym 1665 roku. Była to ostatnia ofiara zabobonu w Zielonej Górze.

Tymczasem rodziny dwóch pozostałych kobiet uzyskawszy najpierw przesunięcie terminu procesu dotarły na dwór cesarski do Wiednia i tu uzyskawszy poparcie kancelarii cesarskiej. Kilka dni później przyszedł rozkaz uwolnienia Doroty Jeuthe i Elżbiety Apelt i przerwania dochodzenia w sprawie o uprawianie czarów.

W 1669 r. zostało wydane zarządzenie pozbawiające sąd zielonogórski prawa wydawania wyroków w tego rodzaju sprawach.

Rozwój ochrony przeciwpożarowej na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1949

W wyniku konferencji poczdamskiej Ziemia Zachodnie i Północne znalazły się w granicach państwa polskiego, aczkolwiek należy zaznaczyć, że o ich ostatecznym kształcie miał zdecydować w przyszłości polsko-niemiecki traktat pokojowy. W latach 1945-1949 Ziemia Lubuska wchodziła w skład państwa polskiego należała zarówno do województwa dolnośląskiego jak i poznańskiego.

Podjęcie działań związanych z organizacją ochrony przeciwpożarowej na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski było palącą koniecznością, bowiem wycofujący się żołnierze, jak i dywersanci niemieccy w wielu miastach celowo wznecali liczne pożary, które w niektórych ośrodkach miejskich utrzymywały się w 1945 roku nawet przez kilka miesięcy. W samym tylko Szczecinie od końca kwietnia do grudnia tegoż roku wybuchły 144 pożary, które objęły między innymi: 92 budynki mieszkalne, 9 zakładów przemysłowych oraz 29 gmachów użyteczności publicznej. W znacznym stopniu spalane lub zniszczone w wyniku działań wojennych zostały również takie miasta jak: Głogów, Kostrzyn, Gubin, Strzelce Krajeńskie i Żagań. Do wielu zaś, pożarów w lasach przyczynili się niektórzy kolejarze niemieccy, którzy z premedytacją wyrzucali w lubuskich obszarach leśnych rozżarzone węgle.

Za wznecanie licznych i groźnych pożarów na Ziemi Lubuskiej odpowiedzialni byli, podobnie jak wspomniane już wojska niemieckie, żołnierze Armii Czerwonej, którzy podpalali budynki mieszkalne w zajmowanych przez nich ośrodkach miejskich, bowiem w ten właśnie sposób chcie-

Bibliografia

- Baranowski B., *W kręgu upiórów i wilkołaków*, Łódź 1981.
 Baranowski B., *Nietolerancja i zabobon w Polsce w XVII i XVIII wieku*, Warszawa 1987.
 Baranowski B., *O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach*, Łódź 1988.
 Borucki M., *Temida staropolska*, Warszawa 1979.
 Bylina S., *Magia, czary i kultura ludowa w Polsce w XV i XVI wieku*, [w:] *Odrodzenie i reformacja w Polsce*, p. red. J. Tazbira, Wrocław 1990, t. XXXV.
 www.zgora.pl/muzeum/ - Muzeum Ziemi Lubuskiej.
 www.prawo.univ.gda.pl - Katedra Prawa Karnego Materialnego i Wykonawczego oraz Psychiatrii Sądowej Uniwersytetu Gdańskiego.
 Komar M., *Czarownice i inni*, Kraków 1980.
 Korcz W., *Procesy czarownic w Zielonej Górze w XVII wieku*, [w:] *Roczniki lubuskie*, Zielona Góra 1959, t.1.
 Kotula F., *Przeciw urokom*, Warszawa 1989.
 Kuchowicz Z., *Obyczaje staropolskie*, Łódź 1975.
 Pelka L. J., *Polska demonologia ludowa*, Warszawa 1987.
 Sallamann J. M., *Czarownice. Oblubienice szatana*, Wrocław 1994.
 Samp J., *Droga na sabat*, Gdańsk 1981.
 Sokołowska M., *Rozdeptane na Bożą chwałę...*, Gdańsk 1995.
 Tazbir J., *Świeci, grzesznicy i kacerze*, Warszawa 1959.



Defilada strażaków na Starym Rynku w Zielonej Górze z 14 lipca 1946 roku

fot. za: Czyżniewski T., *Spacer ulicami Zielonej Góry, Stary Rynek odc. 2. "Gazeta Wyborcza", dodatek Zielona Góra, 16 października 2003, s. 4*

czu 1949 roku surowego zarządzenia nakazującego podległym mu jednostkom wojskowym na terenie będących w ich dyspozycji poligonów przestrzeganie przepisów przeciwpożarowych nie przyniosło pożądanych skutków. Co gorsza w obliczu występujących każdego roku, pożarów na poligonach, takich jakie miały miejsce: w Świątoszowie (w 1950 i 1957 roku), jak i w Przemkowie i Trzebieniu (w 1957 roku) nie dopuszczali oni nikogo z przybyłych z pomocą Polaków, argumentując obłudnie, że sami sobie z nimi dadzą radę. Takie postępowanie niewątpliwie przyczyniło się do wzrostu strat poniesionych w wyniku wspomnianych pożarów, a były one znaczne, gdyż na wskutek tylko dwóch z nich mających miejsce w 1950 roku na terenie poligonu Świątoszów zniszczeniu uległo około 400 ha obszarów leśnych.

Nie bez winy byli też Polacy zwłaszcza ci, którzy na Ziemiach Zachodnich i Północnych uprawiali szaber dążąc do jak najszybszego w ten sposób wzbogacenia się. Nie mówiąc już o tym, że w wielu przypadkach byli oni tymi, którzy przypadkowo lub celowo, wznecali pożary.

Władze komunistyczne funkcjonujące od 1944 roku w Lublinie zdawały sobie sprawę z konieczności podjęcia przez nich działań zmierzających do zorganizowania ochrony przeciwpożarowej w odradzającym się państwie polskim. Dlatego też nic dziwnego, że w składzie działających w 1945 roku na Ziemiach Zachodnich i Północnych grup operacyjnych, kierowanych przez rządowych pełnomocników, znaleźli się przedstawiciele pożarnictwa. O przebiegu organizacji ochrony przeciwpożarowej na danym terenie decydowali wyznaczeni przez Głównego Inspektora Pożarnictwa gen. poż. Eugeniusza Doeringa kierownicy pożarniczych grup operacyjnych. Na Ziemi Lubuskiej i w Pile stanowisko to sprawował, inspektor pożarnictwa w Poznaniu ppłk poż. Tadeusz Busza, natomiast na Dolnym Śląsku kpt. poż. Stefan Meyer. W marcu 1945 roku w działających w odradzającym się kraju urzędach wojewódzkich powołano wydziały, zaś w starostwach powiatowych referaty do spraw ochrony przed pożarami i innymi klęskami. Pracami takiego oddziału w województwie poznańskim kierował wspomniany już ppłk poż. Tadeusz Busza, a we Wrocławiu ppłk poż. K. Łabno. Utworzenie przez Urząd Wojewódzki w Poznaniu Ekspozytury z siedzibą w Gorzowie Wlkp. oznaczało, że ten nowy twór administracyjny w ramach powierzonych mu zadań zajmował się również organizacją w podlegających mu powiatach Ziemi Lubuskiej sieci jednostek straży pożarnych. Trzeba dodać, że od 1946 roku odpowiedzialność za wszelkie działania przeciwpożarowe ponosił Komendant Powiatowy w Gorzowie Wlkp. Paweł Noak. Zagadnienie związane z egzystencją ochotniczych straży pożarnych zostało uregulowane w 1945 roku dzięki reaktywacji Związku Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej, a następnie powołaniu Zarządu Przymusowego Związku. Wspomniany Zarząd Przymusowy Związku Straży Pożarnych RP w oparciu o zarządzenie Ministra Administracji Publicznej z 11 marca 1946 roku mianował członków Komisji Zarządzającej Związku Straży Pożarnych w oddziałach powiatowych. W tej sytuacji kierownicy, funkcjonujących dotychczas wojewódzkich i powiatowych oddziałów i referatów ochrony przed pożarami i innymi klęskami, zajęli

się organizacją wojewódzkich oraz powiatowych oddziałów Związku. Kierownicy ci posiadali pełnię władzy zarówno nad ochotniczymi, jak i zawodowymi strażami. Nie inaczej było też na Ziemi Lubuskiej, gdyż proces powoływania np. powiatowych instruktorów pożarnictwa przy starostwach nadzorowany był przez Komisję Zarządzającą Związku Straży Pożarnych w Poznaniu na czele, której stał naczelnik wydziału w poznańskim urzędzie wojewódzkim - Feliks Kasprzak. Instruktorzy ci starali się organizować obok istniejących już nowe ochotnicze straże, jak również dbali o właściwe przygotowanie merytoryczne oraz praktyczne w zakresie zwalczania np. pożarów wśród podległych im ludzi.

Na Ziemi Lubuskiej twórcy zarówno miejskich, zawodowych czy też Ochotniczych Straży Pożarnych tacy jak np. Wacław Piechocki (Żagań), Józef Jankowski, Marian Simiński, Bolesław Filipek (Zielona Góra) czy też Tadeusz Begier (Gorzów Wlkp.) oraz wielu innych borykali się z licznymi problemami, ponieważ rozpoczynali oni swoją działalność praktycznie od zera. Jednym z istotnych problemów, który musieli oni rozwiązać, aby w ogóle możliwe stało się podjęcie czynności przeciwpożarowych było znalezienie odpowiednich ludzi, którzy tylko za zakwaterowanie lub nawet za nic, skłonni byli do podjęcia się tego strażackiego trudu. Początkowo z konieczności między innymi: w Zielonej Górze czy też Lubsku czynności te wykonywali pod polskim dowództwem przedstawiciele ludności niemieckiej. Szybko jednak przybywający na te ziemie polscy pionierzy z różnych zakątków Polski oraz innych państw zasilili szeregi rodzących się właśnie jednostek strażackich. Wielu z nich, będąc już strażakami, przynosiło ze sobą niezbędne wyposażenie w postaci sprzętu strażackiego, mundurów, a także sztandarów.

Sprzęt strażacki to kolejny problem, który trzeba było koniecznie rozwiązać, gdyż jego brak na Ziemi Lubuskiej był zjawiskiem powszechnym, bowiem uciekający przed Armią Czerwoną niemieccy strażacy zabierali swój sprzęt ze sobą. Niewątpliwie także sporo sprzętu wywieźli Rosjanie, których specjalne "trofejne" oddziały wywoziły z Ziemi Zachodnich i Północnych wszystko co tylko się dało. Nie można też wykluczyć tego, że znaczny udział w tym procederze mieli szabrownicy, a nawet polskie władze z innych regionów kraju, które to uprawiały na tych ziemiach tzw. szaber oficjalny. W tej sytuacji nic dziwnego, że strażacy z narażeniem własnego życia walczyli z pożarami dosłownie tym co było pod ręką. I tak dla przykładu można podać, że w Zielonej Górze strażacy początkowo dysponowali wózkiem dwukołowym ze stojakiem hydrantowym, starą motopompą oraz około dwustumetrowymi aczkolwiek częściowo zniszczonymi węzami tłocznymi. Tak wyposażeni udawali się oni piechotą, ciągnąc ze sobą węzeł z węzami, do pożarów wybuchających w mieście. Jeszcze tragiczniej rzecz się miała w Nowej Soli, gdzie dopiero w wyniku groźnego pożaru biblioteki w obliczu, którego z powodu braku odpowiedniego sprzętu, miejscowi strażacy byli bezradni, otrzymali oni od komendantury radzieckiej dwie motopompy wraz z kompletnym wyposażeniem. Nawet jeżeli do zagadnienia związanego z zakupem brakującego wyposażenia dla strażaków odpowiednie instytucje państwowe podchodziły ze zrozumieniem

to prawdopodobnie często bywało tak, jak w powiecie ślubice, że kiedy np. buty gumowe dla członków Ochotniczych Straży Pożarnych zostały zamówione, a nawet dostarczone to nagle okazywało się, że w budżecie starostwa na ten zakup, a także na inne cele przeciwpożarowe, jak to określił ówczesny komendant powiatowy w swoich wspomnieniach "(...) figurowała symboliczna złotówka". Niestety tak samo według niego było w gminach. Natomiast wiele szczęścia mieli strażacy OSP w Gubinie, którzy odnaleźli gdzieś na peryferiach lekko uszkodzony bliżej nieokreślony-samochód strażacki. Z czasem sytuacja w dziedzinie wyposażenia jednostek strażackich uległa poprawie, ale niewątpliwie poważnym utrudnieniem dla strażaków w ich codziennej i niebezpiecznej pracy był zwłaszcza w latach 1945-1946 fatalny, z wielu przyczyn, stan dróg na Ziemi Lubuskiej.

Pomimo powyższych braków organizacyjnych strażacy działający na Ziemi Lubuskiej potrafili uporać się z wieloma groźnymi pożarami. I tak np. członkowie OSP wraz z niemieckimi strażakami z Zielonej Góry pod kierunkiem kierującego akcją przeciwpożarową Józefa Jankowskiego zdołali ugasić trwający przeszło dwa tygodnie pożar w fabryce nici w Nowej Soli. Dzięki temu zdołali oni uratować przed spaleniem znaczne dobra materialne znajdujące się w magazynach tejże fabryki. W kwietniu 1947 roku Miejskiej Straży Pożarnej w Gorzowie Wlkp. udało się zlikwidować bardzo groźny pożar, który wybuchł w wyniku eksplozji jednej z cystern. Szczególną odwagą wykazał się biorący udział w tej akcji Komendant MSP Tadeusz Begier, bowiem z poparzeniami trzeciego stopnia rąk i twarzy zdołał on uratować życie trzem radzieckim żołnierzom, którzy według jego relacji palili się "(...) jak żywe pochodnie". W wyniku poparzeń rekonwalescencja tegoż komendanta trwała dziesięć tygodni. Jego postawa została doceniona przez przełożonych, gdyż otrzymał on awans do stopnia chorążego pożarnictwa. Nie brakło niestety wśród strażaków tych, którzy spiesząc na ratunek zagrożonym przez pożar osobom, poświęcili swoje życie. Prawdopodobnie pierwszym strażakiem, który zginął na Ziemiach Zachodnich i Północnych był Teofil Firlik, bowiem w maju 1945 roku w Szczecinie w drodze na miejsce pożaru w wyniku katastrofy samochodowej poniósł on śmierć. Łącznie w samych tylko latach 1945-1947 na wspomnianych ziemiach śmierć poniosło jedenastu strażaków. Nie obyło się bez ofiar również na Ziemi Lubuskiej, bowiem np. jeden ze strażaków uczestniczący w walce z pożarem, który miał miejsce w budynkach Urzędu Bezpieczeństwa w Zielonej Górze w Sylwestra 1946 roku wkrótce po tej akcji zapadł na zapalenie płuc w następstwie czego zmarł. Warto dodać, że ryzykujący w wielu akcjach przeciwpożarowych utratą zdrowia lub życia strażacy narażeni byli jeszcze na bezpodstawne oskarżenia ze strony władz komunistycznych. Taki właśnie los spotkał komendanta Tadeusza Begiera, bowiem awaria samochodu uniemożliwiła jemu i jego gorzowskim podwładnym dotarcie na czas do palących się radzieckich koszar w Skwierzynie. To spowodowało, że oskarżony o sabotaż trafił on do aresztu, z którego to ostatecznie po dwóch tygodniach wypuszczono go. Dzięki czemu mógł on nadal wykonywać swoje obowiązki.

Strażacy nie tylko ratowali przed ogniem mieszkańców Ziemi Lubuskiej, jak i ich dobytek, ale również bronili ich przed szabrownikami czy też niedobitkami armii niemieckiej. Kształtowali zarazem w dużym stopniu, podobnie jak w okresie międzywojennym ich życie kulturalne, gdyż w wielu miastach i wsiach organizowali oni teatry lub orkiestry strażackie. Pomagali im także przy urządzaniu licznych imprez np. działaczom ruchu ludowego służyli pomocą w 1947 roku, jak i w późniejszych latach przy organizacji Święta Ludowego. Niewątpliwie uczestniczyli oni też w akcji przeciwpowodziowej, która odbyła się wiosną 1947 roku.

Po początkowym okresie wzmożonej aktywności nastąpił jej spadek wśród członków niektórych OSP na Ziemi Lubuskiej, bowiem wielu z nich zajęło się układaniem swoich osobistych spraw.

Z pewnością również niekorzystny wpływ na funkcjonowanie wszystkich strażaków miały decyzje jakie podjęli sternicy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w 1949 roku, gdyż w tym właśnie roku reaktywowany w 1945 roku Związek Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej został zlikwidowany. Na jego miejsce, całokształt spraw przeciwpożarowych związanych z ochroną przeciwpożarową, znalazł się w gestii utworzonej w 1950 r. Komendy Głównej Straży Pożarnej, którą z kolei podporządkowano ministrowi gospodarki komunalnej, w 1954 r. zaś ministrowi spraw wewnętrznych. Natomiast przy prezydium wojewódzkich i powiatowych rad narodowych powołano zależne od nich odpowiednie komendy straży pożarnych. Powyższe zmiany w kształtującej się właśnie stalinowskiej Polsce miały na celu zapewnić partii pełną kontrolę nad działającymi w kraju strażami pożarnymi, ponieważ jak to określił jeden z posłów Sejmu Ustawodawczego w ich szeregach schronienie znalazło wielu rzekomo wrogich władzy ludowej-elementów. Można przyjąć, że władze partyjne w imię realizacji lansowanej przez Józefa Stalina tezy o zaostrzającej się walce klasowej wraz z postępem socjalizmu prawdopodobnie doprowadziły do spadku stanu osobowego straży pożarnych w istniejącym od czerwca 1950 roku województwie zielonogórskim, albowiem np. w powiecie strzeleckim kontrolowane w dużym stopniu przez partię Zjednoczone Stronnictwo Ludowe skutecznie rozprawiło się z "wrogimi elementami", z których wielu być może ze względu na szczególnie żywe związki w tym powiecie ludowców ze strażakami, należało do OSP. W tej sytuacji nie można wykluczyć tego, że wykluczenie danego członka ze stronnictwa pociągało ze sobą jednocześnie jego usunięcie z szeregów strażackich. Władze komunistyczne oprócz powyższych zmian wprowadziły w życie szereg innych, które w poważnym stopniu umożliwiły jej ścisły nadzór nad OSP. I tak np. zniesiony został samorząd OSP co spowodowało, że o wyborze danego komendanta nie decydowało już walne zgromadzenie członków straży, lecz na wniosek określonej komendy powiatowej, wyznaczała na to stanowisko daną osobę-komendę wojewódzka. Spowodowało to, że niekiedy stanowisko to obejmowały osoby, które nie tylko nie orientowały się w problematyce związanej z funkcjonowaniem OSP, ale także nie miały one autorytetu wśród swoich podwładnych. Co gorsza strażacy-ochotnicy pozbawie-

ni zostali wielu cenionych przez nich odznaczeń takich między innymi jak: nadawany za uratowanie życia danej osobie podczas akcji gaśniczych Złoty Krzyż za Ratowanie Ginących czy też wręczany najbardziej zasłużonemu lub działającemu nieprzerwanie przez 50 lat w służbie strażackiej członkom OSP Złoty Znak Związku Straży Pożarnych RP. Liczne OSP we wspomnianym okresie nie podporządkowały się również zmianom związanym z tradycyjnym umundurowaniem strażackim, gdyż ich członkowie nie chcieli nosić okrągłych czapek z czerwonym otokiem, wprowadzonych w miejsce dotychczas używanych tradycyjnych rogatywek. Szczególne niezadowolenie strażaków z pewnością wywołała podjęta w 1949 roku przez władze decyzja o likwidacji ich święta, które to obchodzili oni rokrocznie 4 maja w dniu męczeńskiej śmierci patrona strażaków tj. św. Floriana. Co gorsza władze komunistyczne realizując wymierzoną przeciwko Kościołowi Katolickiemu politykę wyznaniową skutecznie uniemożliwiały strażakom występowanie podczas Święta Pracy z wizerunkami ich patrona. Bardzo prawdopodobne jest też i to, że niezbyt chętnie zielonogórcy strażacy brali udział w organizowanych przez władze takich akcjach jak np. walka ze stonką ziemniaczaną.

Pomimo wyjątkowo niebezpiecznych warunków panujących na Ziemi Lubuskiej tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej przybywający strażacy, jak i inni osadnicy wbrew istotnym problemom kadrowym czy też braku odpowiedniego wyposażenia, zdołali zorganizować na tym terenie sprawnie działającą ochronę przeciwpożarową. Dzięki ich strażackiej służbie w latach 1945-1949 udało im się w znacznym stopniu pomóc mieszkańcom Ziemi Lubuskiej w walce z wybuchającymi między innymi w tym czasie pożarami. Ich położenie stale się jednak pogarszało, ponieważ władza komunistyczna najpierw instrumentalnie wykorzystywała ich w celu zwalczania np. "wrogiej propagandy" podczas ostatecznie sfałszowanego przez nią referendum z czerwca 1946 roku, a następnie wraz ze zdobyciem pełni władzy w kraju podjęła ona kroki zmierzające do całkowitego oczyszczenia szeregów strażackich z tzw. wrogich w mniemaniu jej sterników-elementów. W tej sytuacji strażacy-ochotnicy pozbawieni możliwości współdecydowania o własnym losie stali się w okresie stalinowskim, jak to słusznie określił S. Kuta "(...) jakby drugoplanowym pomocnikiem aparatu zawodowego, wykonawcami poleceń i rozkazów, z których inicjatywą nikt nie musiał i nie potrzebował się liczyć".

Daniel Koteluk

Lubuskie Towarzystwo Kultury w okresie gomułkowskim (1956-1970)

Myśl o utworzeniu organizacji zajmującej się działalnością kulturalną na Ziemi Lubuskiej po raz pierwszy pojawiła się na Sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze w czerwcu 1956 roku. Niestety początkowe dążenia lubuskich literatów zbiegły się w czasie z wydarzeniami poznańskimi oraz zmianą na stanowisku I Sekretarza KC PZPR. W skali całego kraju wpłynęło to w znacznym stopniu na wyhamowanie działalności w środowisku ludzi kultury i sztuki.

Wybór na stanowisko I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki oraz zapowiadana liberalizacja i demokratyzacja życia przyspieszyły stworzenie organizacji zrzeszającej ludzi kultury na Ziemi Lubuskiej. Już w lipcu 1957 roku na Sejmiku Kultury powołano do życia Lubuskie Towarzystwo Kultury. W dniach 5-6 lipca 1957 roku przyjęto deklarację ideową, uchwalono statut Towarzystwa oraz dokonano wyboru władz w postaci Rady LTK, Komisji Rewizyjnej oraz Sądu Koleżeńskiego.

Od początku istnienia Towarzystwo działało na dwóch torach. Z jednej strony podstawowym zadaniem miało być potwierdzanie historycznej przynależności i polskości ziem nad Odrą oraz zacieranie różnic pomiędzy tymi terenami a resztą kraju. Z drugiej strony LTK stało się tworem nadrzędnym w stosunku do już istniejących związków i towarzystw kulturalnych działających na Ziemi Lubuskiej. Statut Lubuskiego Towarzystwa Kultury zakładał więc, że rzeczywistym członkiem LTK może być działacz społeczny oraz twórca kultury, jak również instytucja oraz sto-

warzyszenie społeczno-kulturalne. Jako federacja różnych towarzystw LTK spełniało następujące zadania: wytyczanie dla regionalnego ruchu ogólnego programu działania, wspieranie finansowe ciekawszych inicjatyw, przenoszenie lepszych koncepcji z jednego do drugiego towarzystwa.

Działalność federacyjna oraz umacnianie regionalizmu na Ziemi Lubuskiej były podstawowymi zadaniami stawianymi przed Lubuskim Towarzystwem Kultury. Realizowano je m.in. poprzez działalność wydawniczą. Zajmowała się tym Sekcja Literacka LTK, którą tworzyli m.in. Tadeusz Jasiński- prezes, Irena Solińska, Bronisław Suzanowicz, Ryszard Rowiński, Kazimierz Malicki, Zygmunt Rutkowski, Romuald Szura, Witold Hussakowski, Bronisława Wajs- Papusza, Janusz Koniusz, Henryk Szyłkin, Roman Łoboda, Adam Kurczyna, Henryk Samujłło. Działalność wydawnicza obejmowała zarówno publikacje prasowe jak i literaturę piękną, popularno- naukową oraz poezję. Towarzystwo umożliwiało w ten sposób start książkowy wielu lubuskim autorom. Pierwszą wydaną pozycją książkową był zbiór baśni i legend nadodrzańskich "O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach" autorstwa Kazimierza Malickiego i Zygmunta Rutkowskiego. Każdy kolejny rok przynosił nowe debiuty książkowe młodych lubuszan.

Już w październiku 1957 roku został wydany pierwszy numer czasopisma "Nadodrże", następnie w 1959 roku pierwszy tom "Rocznika Lubuskiego". Publikowane artykuły potwierdzały historyczną przynależność oraz pol-

skość Środkowego Nadodrza, zawierały niejednokrotnie wspomnienia mieszkańców na temat walki wyzwolenczej oraz reportaże o współczesnych problemach regionu.

Lubuskie Towarzystwo Kultury starało się również oddziaływać na społeczność poprzez działalność filmową. Również w tej dziedzinie umacniano wiarę w polskość ziem przygranicznych. Jedną z takich produkcji był film "Była i jest nasza" zrealizowany przez Tadeusza Kajana, Janusza Łomskiego, Andrzeja Wielowiejskiego, Stanisława Komara. Od 1960 roku LTK patronowało Lubuskiej Kronice Filmowej oraz Lubuskiemu Przeglądowi Kulturalnemu.

Towarzystwo prowadziło ożywioną działalność o charakterze naukowym. Wyrazem tego było powołanie w 1958 roku Sekcji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego z Władysławem Korczem, a następnie Ośrodka Badawczo- Naukowego LTK.

Jednym z największych osiągnięć Towarzystwa było utworzenie w 1961 roku oddziału Związku Literatów Polskich.

Działalność Lubuskiego Towarzystwa Kultury w okresie gomułkowskim można podzielić na dwa etapy. Pierwszy polegał na stworzeniu bardzo silnej więzi ludzi zamieszkujących te tereny. Specyfika regionu Lubuskiego polegała bowiem na ciągłej obawie przed zagrożeniem ze strony Niemiec. Zadaniem Towarzystwa miało być więc dawanie poczucia jedności.

Z czasem jednak problematyka historyczna ustąpiła miejsce społecznej oraz perspektywom rozwoju Ziemi Lubuskiej. W drugiej połowie lat 60-tych wśród głównych zadań Towarzystwa pojawiła się współpraca ze środowiskiem robotniczym. Wyrazem tego stały się ogólnopolskie spotkanie działaczy kultury i sztuki na terenie budowy Huty Miedzi "Głogów", jak również debata podczas IV Sejmiku kultury pod hasłem "W poszukiwaniu konstruktywnego programu".

Dodać należy, że nie zawsze działalność Towarzystwa

przeżywała same laury. Pojawiały się również problemy. Pierwszy raz na swoiste utrudnienia zwrócono uwagę w czasie trwania III Sejmiku Kultury w 1964 roku. Zauważono, że po dużej fali aktywności społecznej działaczy z pierwszego okresu nastąpił pewnego rodzaju regres. Wynikało to z tego, że część działaczy rezygnowała z działalności, niektórzy nie wywiązywali się ze swoich zadań. Kolejne trudności pojawiły się m.in. w roku 1967. Jak wynikało ze sprawozdania Najwyższej Izby Kontroli działacze Towarzystwa niejednokrotnie prowadzili działalność sprzeczną z uchwalonym Statutem, nieumiejętnie korzystali ze środków finansowych oraz pobierali wynagrodzenie za nie przeprowadzone odczyty.

Mimo różnego rodzaju trudności Lubuskie Towarzystwo Kultury odbierane było jako potrzebna i integralna część lubuskiego środowiska kulturalno- naukowego. Świadczyć o tym może przede wszystkim fakt, że Towarzystwo dało początek wielu instytucjom oraz kołom kulturalnym i literackim istniejącym do dnia dzisiejszego.

Edyta Staroń

Bibliografia

- Szczegóła H., Kultura, Historia, Region, Zielona Góra 1975
LTK 1957-1972, Zielona Góra 1972
Ratus B., Kształcenie i rozwój kadr oświatowo-kulturalnych na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1965, Poznań 1971
Mossakowska-Mazany H., Stan i kierunki działania regionalnych i lokalnych stowarzyszeń kulturalnych w Polsce, Warszawa 1972
Rudiak R., Organizacje i ugrupowania literackie w Zielonej Górze [w:] "Studia Zielonogórskie" pod red. A. Toczewskiego, nr 7, Zielona Góra 2001
Archiwum Państwowe w Zielonej Górze oddział w Wilkowie, Egzekutywa KW PZPR, sygn.36/IV/112

Heute so viel bis achtunddreißig

Należąc do Koła Naukowego Historyków Studentów działającego przy Instytucie Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego, w okresie od 13 do 28 lipca 2002 roku uczestniczyłem w obozie naukowym zorganizowanym w Kargowej. Chęć poznawania historii naszego regionu tej odległej oraz najbliższej, skłoniła nas do poszukiwań osób, które przeżyły ostatnią wojnę w Kargowej, a więc autochtonów. Wśród tych, z którymi rozmawialiśmy nasze największe zainteresowanie wzbudziła historia mordu dokonanego na Żydówkach w 1945 roku. Niniejszy artykuł oparty jest na relacji naoczego świadka.

Wydarzenie to miało miejsce w czasie mroźnej zimy na przełomie stycznia i lutego 1945 roku. Z nowosolskiej fabryki włókienniczej, w trzech kolumnach,

zostały przypędzone do Starego Jaromierza młode kobiety. Mieszkańcom wioski kazano nakarmić więźniarki idące w jednej z kolumn. W tym celu uparowali oni dla nich ziemniaki, które stały się długo oczekiwanym posiłkiem. Odbывало się to przed miejscową szkołą. Spośród przypędzonych kobiet trzydziści osiem było zbyt słabych, wyczerpanych i wyzionionych, aby jeść. Pozostałe zdolne do marszu opuściły już wieś, kierując się na Sulechów. Na polecenie żołnierzy niemieckich, sołtys rozkazał postawić trzy furmanki, aby zawieźć te najbardziej wyczerpane do szpitala w Sulechowie. Gospodarze Mülke, Libik i Tülle podstawili furmanki. Każdy z nich dał też parobka powożącego, jednym z nich był pan Florian Drzymała. Kobiety wpełzły na wozy, z których każdy

eskortowany był przez trzech niemieckich żołnierzy. W takim składzie wyruszone w drogę do szpitala. Przy wyjeździe ze wsi, ku zdziwieniu pana Floriana, żołnierze nakazali skręcić w lewo do najbliższego lasu w kierunku Nowego Paromierza, a do Sulechowa powinni skręcić w prawo. Następnie na ich polecenie, po przejechaniu około 150 metrów wydano rozkaz zatrzymania. Kobiety zaczęły ściągać z wozów. Jeden z żołnierzy podszedł do parobków i pomagał im przy koniach. W tej samej chwili zaczęły rozlegać się strzały. Każdą z więźniarek zamordowano strzałem w tył głowy. Jedna z nich chcąc ratować swe życie zeskoczyła z wozu między konie i udało się jej zginąć jako ostatniej. Po egzekucji jeden z żołnierzy sprawdził czy wszystkie zginęły i ranne dobijał. Zwłoki wrzucono do rowu rozgraniczającego las. Potem gałęziami zatarto ślady krwi i zakryto ciała. W między czasie jeden z żołnierzy powiedział do pana Floriana: Heute so viel bis achtunddreißig. Nie wiedział on, że pan Drzymała był Polakiem, gdyż jego naszywka "P" była zakryta przez kozuch dany mu przed wyjazdem przez swego pracodawcę. Po egzekucji żołnierze nakazali odjechać dwu pozostałym parobkom do wsi, a pan Florian dostał rozkaz zawiezienia oprawców do Sulechowa, dokąd zmierzła reszta kobiet. Napotkali je, jednak już w Wojnowie. Tutaj zadanie jego się skończyło i zawrócił on do domu. Gdy wieść o makabrycznym zajściu dotarła do wsi, wzbudziła powszechne oburzenie i zdziwienie. Aby dopełnić obrazu tych wydarzeń, podkreślić trzeba fakt, że zamordowane kobiety były w wieku około 20-25 lat, a ich oprawcy wyglądali na 60-latków. Żołnierze, aby lżej znieść zadanie ich czekające pili alkohol.

Owe dramatyczne wspomnienia, tak głęboko wryły się w pamięć świadka, że po wojnie próbował powiadomić odpowiednie służby o tamtejszym zajściu jednak nikt nie chciał słuchać jego relacji. Dopiero po 1989 roku zainteresowano się tym. Dla upamiętnienia pamięci o zamordowaniu tu trzydziestu ośmiu kobiet, wzniesiono pamiątkowy pomnik. Wiele jest jeszcze osób, które były świadkami nieraz dotąd nieznanymi zdarzeń, ale należy starać się, aby pamięć o nich się nie zatarła i aby były one świadectwem koniecznym dla potępienia dokonanych zbrodni.

Pragnę serdecznie podziękować Panu Florianowi Drzymale za rozmowę i czas mi poświęcony.

Tadeusz Serylak

Bibliografia:

- Nowa Sól. Dzieje miasta, opr. G. Wyder i T. Nodzyński, red. J. Benyskiewicz, Zielona Góra 1993.
Nowa Sól. Miejsca pamięci narodowej województwa zielonogórskiego, opr. P. Michowski, Zielona Góra 1987.



Ciasto z morelami

4 jajka, tyle ile ważą jajka mąki, cukru, margaryny, otarta skórka z cytryny, łyżka proszku do pieczenia; 50-60 deka moreli, cukier puder z wanilią, łyżka koniaku.

Ucierać margarynę dodając po jednym żółtku i cukier. Wsypać mąkę z proszkiem do pieczenia, wlać alkohol i dodać pianę z białek. Lekko wymieszać, wyłożyć ciasto do tortownicy wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułką. Na wrzącą wodę kłaść morele gotując ok. 4 m.in. Wyjmować i od razu obierać ze skórki przekrajając morele na pół. Kłaść na wierzchu ciasta pojedynczą warstwę owoców, wypukłą stroną ku górze.

Piec ok. pół godz. Zrumienione ciasto wyjąć z piekarnika i posypać cukrem pudrem.

Ryba w sosie wiejskim

6 kostek filetów z białej ryby, listek laurowy, 3 ziarna ziela angielskiego, sól, cukier; łyżka masła, pół szklanki nasion z dyni, pół szklanki majonezu, pół szklanki śmietany, pół ząbka czosnku.

2 szklanki wody zagotować z przyprawami, wrzucić zamrożone ryby i gotować do miękkości na małym ogniu. Rybę wyjąć, osączyć, skropić sokiem z cytryny – po wystygnięciu wstawić do lodówki. Patelnię rozgrzać, położyć na nią łyżkę masła i gdy się roztopi wrzucić pestki z dyni. Smażyć stale mieszając na silnym ogniu przez 5 min. Zdjąć z ognia, wystudzić! Majonez wymieszać ze śmietaną, dodać pestki, doprawić odrobiną czosnku. Otrzymanym sosem polać rybę.

Surówka z pomidorów

½ kg pomidorów, po 2 łyżki posiekanego koperku i zielonej pietruszki, cebula, 3 łyżki oleju sojowego, 2 łyżki śmietany, sok z połowy cytryny, sól, cukier, pieprz.

Utrzeć olej z dodatkiem śmietany i soku z cytryny. Gęsty, puszysty sos wymieszać z zieleniną i przyprawić do smaku. Można dodać odrobinę czosnku, który nadaje zaprawie odmienny smak. Cebulę obrać, opłukać, posiekać, dodać do sosu. Pomidory ułożyć na sicie, polać wrzątkiem, spłukać zimną wodą – obrać ze skórek i pokrajać w plasterki. Ułożyć na półmisku i polać przygotowanym sosem. Podawać do wszelkich potraw.